TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY SEKCYJ TATERNICKICH A. Z. S. W KRAKOWIE I WARSZAWIE
WYCHODZI CZTERY RAZY DO ROKU

ROCZNIK XIII ZESZYT 2

★

TREŚĆ

★

KRAKÓW 15 CZERWCA 1929 R.

REDAGUJE PRZY WSPÓŁUDZIALE KOMITETU REDAKCYJNEGO
STANISŁAW KRYSTYN ZAREMBA, KRAKÓW (16), UL. ŻYTNIA 6
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4
KONTO CZEKOWE SEKCJI TURYSTYCZNEJ P. T. T. NR. 409.570

NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

TATERNIK

ROCZNIK XIII ★ KRAKÓW, 15 CZERWCA 1929 R. ★ ZESZYT 2

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE
ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W WARSZAWIE

W LODACH I SKAŁACH MEIJE

Po powrocie z grupy Mont Blanc, zacząłem myśleć o nowej wyprawie w góry, np. w masyw Pelvoux, a to dla zbadania trudności wyjść po lodowcach. Wprawdzie poprzednio schodziłem ich już sporo, jednakże były one jeszcze przykryte śniegiem, przyczem, jako główny cel stawiając sobie poznanie Mont Blanc, nie szukałem żadnych specjalnych trudności lodowcowych i poprzestawałem na tych, których uniknąć się nie dało. W obecnym przypadku chodziło natomiast o lód, a wyjście szczytowe miało być jedynie przyjemnością po robocie. Niedługo wahałem się. Z najrozmaitszych względów postanowiłem dokonać trawersowania Meije [1]). I któregoś z pierwszych dni sierpnia 1928 r. wsiadłem do autocaru, by o godzinie 12 w południe znaleźć się w la Grave.

Godzina stosunkowo dość późna, skoro się miało przejść do schroniska Promontoire przez przełęcz w Meije (1900 m różnicy wysokości

[1]) Trójwierzchołkowa Meije (Grand-Pic de la Meije 3982 m, Meije Centrale 3974 m i Meije Orientale 3911 m), jeden z najwspanialszych i najśmielszych tworów skalnych w Alpach, wchodzi w skład masywu Pelvoux w Delfinacie i — obok samego Pelvoux (3945 m) oraz wyższych od niego les Ecrins (4100 m) — stanowi jeden z głównych szczytów w tej grupie, a zarazem najważniejszą jej atrakcję turystyczną, zarówno dzięki pięknemu krajobrazowi, jak poważnym trudnościom do pokonania w drodze na szczyt. Pierwszego wyjścia na Grand-Pic de la Meije dokonał 16 sierpnia 1877, E. Boileau de Castelnau z dwoma miejscowmi przewodnikami ojcem i synem P. Gaspard drogą od południa. Tą właśnie drogą szedł p. Golcz, przedostawszy się uprzednio z miejscowości la Grave (1482 m), położonej na północ od Meije, przez Przełęcz w Meije (Brèche de la Meije 3358 m) do schroniska Promontoire (3093 m), znajdującego się po stronie południowej. Pierwszego trawersowania Meije, granią od Pic Central do Grand-Pic dokonali dnia 26 lipca 1885 E. i O. Zsigmondy i L. Purtcheller. Tego samego roku, 6 sierpnia, podczas próby przejścia zdobytej dopiero 26 lat później, południowej ściany Meije, zginął E. Zsigmondy. Drogę graniami odbywa się dziś najczęściej w kierunku przeciwnym, schodząc następnie z Meije Centrale przez schronisko de l'Aigle (3439 m) ku la Grave. W ten sposób wracał z Meije p. Golcz (Red.).

w górę i 250 w zejściu). To też po króciutkim obiedzie, zjedzonym nad potokiem, ruszam śpiesznie w górę. Droga bardzo zawikłana w skałach, wrzynających się w lodowiec de la Meije (les Rochers des Enfetchorés). Mimo tego posuwałem się szybko. a że byłem na właściwym szlaku, dowodziły znajdowane od czasu do czasu puszki od konserw, lub potłuczone butelki. W jednem miejscu należało przetrawersować żleb, którym schodzi odnoga lodowca. Nietrudno ale nieprzyjemnie, ponieważ żlebem tym grzmi nieustannie lawina brył lodu i głazów. Po doczekaniu się chwileczki ciszy, przekroczyłem go też w tempie możliwie najżwawszem. I szczęśliwie: bo ledwo brzeg przeciwległy zdążyłem osiągnąć, nowa fala brył przeszła torem żlebu. Teraz znalazłem się wreszcie na najwyższym punkcie skał i wszedłem na lód. Droga według opisu prowadzi na lewo, więc i ja tak postępuję. Po piętnastu minutach drogi, ilość i wielkość szczelin zaczyna mię niepokoić. Przytem coraz lepiej widzę mur lodowy, którym kończy się lodowiec, przechodząc w północną ścianę Meije. Jednakże kontynuuję pochód, ponieważ, po pierwsze, zbliżam się w ten sposób do owej ściany, której jestem bardzo ciekaw, po wtóre, jestem tu przecież na to, by poznać trudności lodowca. Wyszukuję drogę, jak mogę, by wybrnąć z gmatwaniny szczelin i ciągle idę w górę. Dochodzę wreszcie do wspomnianego uprzednio muru. Przedstawia się on niezbyt zachęcająco: wysokości około 50 m, nadto odgrodzony szeroką i głęboką szczeliną brzeżną. Obchodzę więc całość w półkole do góry i wreszcie znajduję most śnieżny, a jednocześnie zdaje mi się, że ściana jest tu możliwą do przejścia. Górna połowa ma wygląd łagodniejszy. Kto nie ryzykuje...

Z miljonem ostrożności przechodzę most; skóra trochę cierpnie: taki cienki a taka głębina pod nim! Ale szerokość jego wynosi tylko niecałe półtora metra. Robię, co można dla zabezpieczenia się przed runięciem mostu i w chwil parę staję na stopniu, wyrąbanym u podstawy ściany. Zaczyna się praca. Stopień po stopniu, niemal centymetr po centymetrze posuwam się w górę. Jestem już wysoko, przynajmniej tak mi się zdaje — szczelina pod nogami taka daleka i groźna, ściana lodowa staje się pionowa i lekko przewieszona nad głową. Teraz dopiero widzę, ile tu siły potrzeba, a jestem zmęczony. I mam 15 kilo w worku na plecach, co bardzo odciąga wtył. Pracuję. Wyrąbuję w nagim, zielonym lodzie wrąb na całą górną połowę ciała, by móc nieco się podnieść i stać pionowo, wybijam to samo na długość 2 m w prawo, trawersując stopa za stopą do załomu. Trawers konieczny, bo niemożliwością fizyczną jest pokonać rąbaniem całą przewieszkę. Za załomem nachylenie staje się takie, jak u wejścia w ścianę. Robię olbrzymie stopnie, by wygodnie stanąć i odpocząć, gdyż zmęczenie staje się niebezpieczne. Zaledwo się trzymam na czekanie a nogi drżą. Po jakich 5 minutach ruszam dalej. Rąbię znów stopień za stopniem, tylko w coraz to większych odstępach, bo nachylenie ciągle się zmniejsza. Nagle nachylenie zupełnie łagodnieje i oto jestem na śnieżnem polu. Tuż na lewo ściana Meije, na prawo, w pewnej odległości — wąska linja. Domyślam się, że to

ślady drogi na przełęcz. W kilka minut jestem na nich. Idą prosto z północy, ja natomiast przyszedłem ze wschodu.

W krótkim czasie osiągam skały i zaraz przełęcz. Ale już noc. Od południa podchodzi ściana w ciemnościach groźna; w dole widać biel śniegu. Gdzie droga? Gdzie schronisko? Zapalam latarkę elektryczną. Zdaje mi się, że jedynie na prawo można próbować zejścia. Schodzę, a raczej zsuwam się powoli, powoli. Latarkę trzymam w zębach. Nagle wylatuje mi. Klekotanie, parę trzasków — i ogarnia mię ciemność. Posuwam się po omacku. Nagle błyszczy mi coś pod nogą. Macam — latarka: otwarta i bez baterji. Zakładam nową. Lampka działa, co sprawia mi taką radość, że zaczynam śpiewać. Na dół! Jestem już na lodzie i naraz widzę świeżutkie ślady tuż na prawo. Znaczy to, iż drogę dobrze wybrałem, znaczy, iż będę spał w schronisku. Świecę i wprost biegnę, przeskakując po drodze kilka małych szczelin. Od pewnego miejsca, ślady zaczynają prawie poziomo trawersować górną część lodowca. Na przeciwległym brzegu widzę światła. — Ho, ho!... Dochodzi mię wołanie: *De quelle nationalité êtes-vous*? — *Polonais, et vous?* — *Allemands!*

Za chwilę rozpoznaję trzech mężczyzn. Widzieli moje światło już na przełęczy, a że szukali jakichś swoich rodaków, więc mają dla mnie gorące kakao i wszystko, czego sobie mogę życzyć. Niebawem jesteśmy w schronisku. Niezagospodarowane, ale świetnie zaopatrzone. Sienniki, doskonałe koce, wszystko do gotowania... Piję zaofiarowane kakao i jem, jem i jem. Rozmawiamy i idziemy spać, już późno w nocy.

Rano o 7 jesteśmy na nogach. Pogoda cudna. Śniadanie. Godzina 8. — Zanosi się na burzę. Moi Niemcy czem prędzej schodzą na dół. Tymczasem o dziewiątej jest znowu pogoda śliczna. O wpół do dziesiątej jestem więc w drodze. Gdzieś koło jedenastej dochodzę do platformy, położonej paręset metrów pod wiszącym lodowcem Carré. Droga, jak dotąd, miejscami dość trudna. Ale jak iść dalej? Mój opis zaczyna szwankować, bo skacze odrazu na lodowiec Carré. A jakoś iść trzeba. Mały trawers w lewo, lekko w górę, potem w prawo i w trzewiczkach wprost w górę do lodowca. Droga coraz trudniejsza. Natrafiam wreszcie na wąziutką rysę, zamkniętą olbrzymią przewieszką u góry. Niema innej rady, trawersuję do drugiej rysy, parę metrów w prawo. Nie puszcza: worek przeszkadza. Zawieszam go na lince, opuszczam parę metrów wdół, jak najbliżej drugiej rysy, zaczepiam linkę o dwa bloki i próbuję. Nie puszcza. Cofam się z trudnością. Nagle odczuwam dwa potężne szarpnięcia. Absolutnie nie mam pojęcia, jak to się stało, dość, że sznur zsunął się z bloków i worek spadł. Patrzę w dół i widzę wszystkie moje rzeczy, spadające lawiną. Huk niezgorszy. Co czynić? Co czynić? Worek jednym rzemieniem wisi na lince. Widzę wiatrówkę i spodnie nieprzemakalne tuż pod nim, na bloku. Na sznurku podartego worka wisi górna część czekana (używam czekana składanego). Buty, zdaje mi się, zatrzymują się na wspomnianej platformie w dole. Odwiązuję więc linkę od siebie i z niesłychaną ostrożnością wiążę na bloku, poczem — na dół. Tym-

czasem zaczyna padać grad. Obniżywszy się około 30 m, trawersuję do tamtej rysy. Teraz do góry. Jestem przy wiatrówce, wkładam ją czem prędzej, gdyż burza w tej chwili się rozpętała — i wracam do worka: cała górna część oddarta, wnętrze puste; pozostały tylko najkonieczniejsze rzeczy w kieszeniach. Związuję go jak mogę, chowam do środka mój kawałek czekana, tak «odnowiony» worek pakuję na plecy i znów na dół. Ciężko idzie, ale idzie. Znajduję dwie pętle; ktoś tu widocznie schodził. Sam, z pośpiechu, liny nie używam. Jestem wreszcie napowrót na platformie i znajduję jeden but, oraz kostkę buljonu. O ironjo! Co robić? W górę, bez żywności, przy szalejącej burzy gradowej, bez butów i połowy czekana? A lodowiec Carré? Toż jedynym sposobem uratowania życia w razie poślizgnięcia się będzie — nie poślizgnąć się wcale! A nadół stąd łatwo; najgorsze już zszedłem. — Ale czy będę miał możność iść drugi raz na Meije? Notatka w książce schroniska (którą zostawiłem, zniecierpliwiony znalezionemi wzmiankami: *éspérons faire la Meije, éspérons reussir* i dodatkami: *n'ont pas reussi*) brzmi: J. Golcz, S. T. T. T., S. T. A. Z. S. *fera la traverseé de la Meije ayant 15 kilos sur soi.* Stracić okazję i do tego ośmieszyć siebie i dwie sekcje? Zapada decyzja: w górę! Jestem przy pętli, którą z łatwością odwiązuję i z tej strony sprawdzam, że trawersowanie było niemożliwością. Wyżej! Następuje przewieszka. Pod nią jest pętla, ale nad nią nie widzę drugiej. Widocznie ktoś stąd zawrócił. Z prawdziwym trudem pnę się dalej. Myślę jednak, iż trudności powiększyła burza i nienajlepszy stan moralny. Wyżej idzie nieco łatwiej i wreszcie osiągam lodowiec Carré. Koniec burzy. Wichura trwa jednak gwałtowna i zimna. Cały kostnieję (sweter straciłem). Zjadam tabliczkę czekolady, jedyną żywność, jaka mi została dzięki temu, iż była w kieszeni.

Wchodzę na lód, założywszy raki na skarpetki. Biję stopnie moim kawałkiem czekana przy samej skale, której trzymam się wedle możności. Wolno posuwam się naprzód. Osiągnąwszy górny koniec lodowca, trawersuję w prawo i na przełączkę w zachodniej grani. Blisko zachodu słońca, wychodzę na główny szczyt (Grand-Pic de la Meije 3982 m). Wichura coraz straszniejsza. Czem prędzej schodzę na dół do przełęczy między nim i zębem wschodniej grani, zwanym Pic Zsigmondy. Następuje trzydziestometrowy zjazd, który robię, zwyczajem dnia tego, bez użycia liny. Z przełęczy dość ciężko na ząb, a z niego na drugi. Tymczasem jednak robi się ciemno. Schodząc jeszcze, znajduję półkę, prawie osłoniętą od wichru, dalej jednak w żaden sposób nie idzie. A do przełączki już tak blisko! Tam zaś dochodzi śnieg wysuniętym od lodowca językiem. Wysokość wynosi około 3920 m, temperatura — kilka stopni poniżej zera.

Zapalam papierosa i w parę sekund zasypiam. Budzę się za chwilę z dreszczem, skutkiem czego o mało nie spadam. Przywiązuję się przeto liną i znów niestrudzenie zasypiam, by się obudzić za każdym podmuchem wichru, który wdziera się do miejsca mego noclegu. Księżyc wschodzi i niezwykle wolno wskazuje mijanie czasu. Jest w pełni i najoczywiściej

szydzi ze mnie. Nie śpię już wcale. W braku innego zajęcia klnę go jak mogę, że tak wolno spaceruje po niebie, oraz przysięgam sobie, że to ostatnia moja wyprawa w góry. Co pewien czas wybucham śmiechem, dość dziwnie tu brzmiącym, z racji tych własnych klątw i przysiąg. Dygocę coraz lepiej.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Oto nareszcie świt. Siedzę i czekam, aż słońce wyjdzie i nie tyle ogrzeje mię, ile rozjaśni grań, doda jej nastroju weselszego. Spostrzegam w pewnej chwili ludzi na lodowcu Tabuchet: idą do góry. Wreszcie i ja ruszam. Wicher jeszcze się wzmógł. Przechodzę trzeci i czwarty ząb. Z tego ostatniego dwa zjazdy dwunastometrowe. Tym razem już nie odrzucam pomocy liny. Wychodzę wreszcie na Meije Centrale i tu spotykam ludzi, których widziałem na lodowcu: Anglik z dwoma przewodnikami. Zaczyna się żywa rozmowa. Dowiadują się, że nie jadłem nic, prócz owej czekolady od śniadania dnia poprzedniego, skutkiem czego w parę chwil później zajadam kurczaka i popijam herbatą. Mówią mi przewodnicy, iż ściana między platformą i lodowcem Carré nazywa się Muraille Castelnau, że droga przechodzi od platformy na ścianę południowo-zachodnią poprzez żebro i wiedzie potem wprost w górę; ja szedłem warjantem zwanym «Mauvais Pas», jednym z najtrudniejszych na Meije (sprawdziłem to później). Wyjaśnił się też brak opisu drogi między platformą a lodowcem Carré. Poprostu, przepisując opis w Grenobli, odnośną kartkę schowałem — przez pomyłkę — gdzie indziej. Rozglądam się. Masyw Pelvoux nie wydaje mi się ładnym. Wszędzie ponurość, brudne lodowce nie dają żadnego ożywienia. Co za kontrast między tem a wspaniałą żywością grupy Mont Blanc! Widok zato mam rozległy. Na prawo Les Ecrins, przede mną rozłożone Aiguilles d'Arves, na ostatnim planie potęga Mont Blanc i ukazujący się chwilami z za chmur Matterhorn. Spotkana trójka miała iść na Grand-Pic de la Meije, ale wobec wichury przewodnicy oświadczają, że dalej iść niema sensu, bo zbyt niebezpiecznie. Anglik akceptuje ich stanowisko i poprzestaje na Meije Centrale, zresztą niższej od głównego wierzchołka tylko o kilka metrów (3974 m). Wobec tego idziemy na dół razem. Oni wszyscy na linie, ja zaś za nimi sam. U początku lodowca przypinam raki, przewodnik zakłada linę i pierwsze 30 m lodowca, bardzo tu stromego i do tego nakrytego obrywającym się śniegiem, zjeżdżamy na niej. W niedługim czasie jesteśmy w schronisku de l'Aigle, identycznie urządzonem, jak na Promontoire.

Dają mi znów jeść i pić. Wybór wszystkiego, czego dusza może zapragnąć. Piszę w książce inicjały, jak uprzednio w Promontoire, oraz pod tem: *a fait la traversée, a perdu ses vivres* i t. d. Poczem znów raki na trzewiczki i na dół przez lodowiec Tabuchet, du Bec i znów Tabuchet. Mimo trudności posługiwania się resztą czekana i zsuwającemi się ciągle rakami, jakoś nadążałem za tamtą trójką, ale gdyśmy z lodu zeszli na trawki, zostałem odrazu w tyle. Trzewiczki ślizgały się tak, iż moich upadków nie możnaby się doliczyć. Straciłem więc wkrótce z oczu mych towa-

rzyszy i doszedłem do la Grave o 3-ej, akuratnie w porę, by zdążyć na autocar, idący do Grenobli — a drogę powrotną słodziła mi myśl, żem nawet lepiej zbadał trudności lodowcowe, niż miałem zamiar.

Jerzy Golcz

Jeżeli zamieszczamy powyższy artykuł, czynimy to zarówno ze względu na samą wyprawę w nim opisaną, jak i na dar narracyjny autora. Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby taki sposób wycieczkowania nie budził zastrzeżeń. Że można mu czynić zarzuty — o tem świadczy schodzenie po nocy do schroniska Promontoire, biwak na grani i sam incydent na «Mauvais Pas». Uwagi nasze nie pomniejszają w niczem dzielności i energji pana Golcza; pragniemy jedynie zapobiec wrażeniu, jakobyśmy propagowali pewien mało systematyczny sposób chodzenia, który zdaje się rozpowszechniać wśród niektórych taterników, a zarazem nie chcemy dostarczać różnym kołom, nieżyczliwym taternictwu, pretekstów do głoszenia, iż kunszt nasz jest bezcelowem igraniem ze śmiercią. Red.

NERWY I TATERNICTWO

«Taternictwo nie siedzi w nogach, lecz w sercu»...

Jan Gwalbert Pawlikowski.

I. Jeden z uroków taternictwa polega na tem, że daje ono zatrudnienie wszystkim siłom człowieka. Nie ulega jednak wątpliwości, iż na najcięższą próbę narażony jest u k ł a d n e r w o w y. Zadanie jego jest trojakie: 1) dopingowanie całego organizmu, celem wydobycia z niego maksimum pracy w czasie męczących marszów lub w niektórych poważnych sytuacjach, jak np. nieprzygotowany biwak w prawdziwej zimie; 2) kontrola wszystkich odruchów w pewnych decydujących momentach, jak najtrudniejsze miejsce w skalnej wspinaczce lub pewne szczególnie ryzykowne przeprawy po śniegu lub lodzie; 3) harmonizacja z towarzyszami, o ile się takich ma, względnie wytrzymanie specyficznej presji psychicznej, którą wywierają góry na samotnego wędrowca. Tem się tłumaczy znany fakt, iż, mimo ogromnego wysiłku, jaki jest potrzebny na wyprawach wysokogórskich, najwybitniejsi ich uczestnicy zazwyczaj wcale nie wyróżniają się wpadającą w oczy muskulaturą, wszyscy natomiast muszą posiadać mocno rozwinięty i wysubtelniony system nerwowy. Odnosi się to — jak wynika ze sprawozdania z ostatniej wyprawy na Mount Everest — nawet do tragarzy, używanych w większych ekspedycjach wysokogórskich.

Nie wchodząc w szczegółowe roztrząsanie wymogów, którym pod względem nerwowym musi czynić zadość taternik, zaznaczamy tylko, iż — według nas — potrzeba mu przedewszystkiem daleko idącej wrażliwości, któraby była bodźcem do narażania się na tak znaczne trudy i niebezpieczeństwa i w chwilach zniechęcenia ciągle stawiała przed oczyma idealny cel wyprawy. Dlatego gruboskórność jest zasadniczą przeszkodą w uprawianiu taternictwa, względnie alpinizmu. Gruboskórne jednostki pojawiają się w niem tylko wyjątkowo i tylko wtedy, gdy wchodzą w grę krótkie

wspinaczki w dogodnych warunkach klimatycznych, jednem słowem wtedy, gdy na pierwszy plan wysuwa się moment akrobatyczny, który jest daleki od decydowania o całokształcie walorów alpinistycznych człowieka. Należy tu raz jeszcze podkreślić znany zresztą fakt, iż o wartości moralnej alpinisty rozstrzygają wyprawy typu alpejskiego lub zimowo-taternickie w stopniu znacznie wyższym, niż wyprawy czysto wspinaczkowe. Na naszym tatrzańskim terenie odpowiednikiem tej wzmożonej selekcji, dokonywanej przez taternictwo zimowe, jest niesłychana szczupłość grona jego adeptów w porównaniu z taternikami letnimi.

Siła woli jest jednym z najważniejszych czynników powodzenia. na każdem polu. I w taternictwie zatem przypada jej w udziale wielka rola Lecz przesadzałby ten, ktoby — kierując się łatwo zrozumiałemi rozważaniami apriorycznemi — przypisywał temu czynnikowi o wiele większe znaczenie w taternictwie, niż w innych dziedzinach. Faktem jest bowiem, iż są znani, a nawet poniekąd wybitni taternicy, którzy w ogólności posiadają dość słaby charakter. Wprawdzie odbija się to niejednokrotnie na ich czynach, lecz często pasja taternicka, nie hamowana przez żadne inne względy, zastępuje napozór dyscyplinę wewnętrzną. Nie ulega jednak wątpliwości, iż tego typu jednostki zawiodłyby w ekspedycjach w góry najwyższe.

Dyscyplina wewnętrzna przydaje się niezmiernie, m. i. gdy chodzi o objektywną ocenę możliwości zdobywczych lub grożącego niebezpieczeństwa. Jako typowe błędy turystów, niedostatecznie opanowanych wewnętrznie, można wymienić: porywanie się na wyjścia, do których się nie dorosło lub też takie, które wymagają zgoła innych warunków atmosferycznych, niż istniejące w danej chwili, wreszcie — przystępowanie do rozwiązania problemów, niedostatecznie zbadanych uprzednio, albo wyruszanie na długie wspinaczki, gdy się zapóźno wsłało. Odwrotną stroną medalu jest, tak rozpowszechnione u polskich turystów, późne ruszanie w drogę, powodujące niepotrzebne noclegi w skale lub co najmniej mozolny powrót przy świetle latarki, brak starannego przygotowania wypraw i t. d.

II. Spełnienie drugiego z wymienionych na początku zadań systemu nerwowego, pojętego w sensie najszerszym, jest równoznaczne z osiągnięciem stanu dostatecznego skupienia. Sam fakt tkwiącego w podświadomości poczucia niebezpieczeństwa jest tu niezmiernie pomocny.

Są jednak chwile, w których nadmierne napięcie grozi załamaniem, pociągającem za sobą z kolei katastrofę. O ile chodzi o wspinaczkę, dotyczy to niemal wyłącznie pierwszego z idących. W takich wypadkach rola drugiego na linie jest niezmiernie ważna. Poza ewentualną fizyczną pomocą — która niezawsze jest możliwa — winien on wszelkiemi siłami pierwszego podtrzymywać moralnie i być na zewnątrz pełnym optymizmu nawet, jeśli przeczuwa bliskie nieszczęście. W szczególności, żartobliwe odezwanie się w dramatycznej chwili może przyczynić się do zażegnania katastrofy przez osłabienie nadmiernego napięcia nerwów zagrożonego towarzysza. Jeśli prowadzący zmuszony jest się cofać, nieocenione są wskazówki asekurującego, dotyczące stopni, ukrytych przed wzrokiem schodzącego twarzą do ściany. Bezwzględne wzajemne zaufanie dwóch pierwszych idących jest oczywiście warunkiem koniecznym bezpieczeństwa i powodzenia na drogach poważnie trudnych. Wyprawy z towarzyszem uchodzą — i słusznie — za znacznie bezpieczniejsze, *ceteris paribus*, od wypraw samotnych. Należy sobie jednak zdawać dobrze sprawę z tego, iż towarzysz jest czynnikiem bezpieczeństwa jedynie pod warunkiem posiadania odpowiednich kwalifikacyj, do których należy nietylko zastosowana do trudności

drogi umiejętność wspinania się, nietylko umiejętność dobrego asekurowania [1]) i bezwzględna sumienność w tym kierunku — także rzecz wśród współczesnych taterników nie zanadto częsta! — lecz również odpowiednie nastawienie psychiczne. Właściwa rola drugiego na linie jest u nas stale niedoceniana. Istną rewelację pod tym względem mogą przynieść niejednemu odnośne ustępy w «Mountain Craft» G. W. Younga (patrz także dra F. Gretschmanna «Der Felsgeher und seine Technik»).

III. Współżycie idealne towarzyszy na wyprawie jest rzeczą niewątpliwie bardzo trudną, zarówno ze względu na ciągły kontakt wzajemny, jak i na denerwujące sytuacje, w których nieraz turyści się znajdują. Zasadniczo konieczne jest tu w pierwszym rzędzie pewne ograniczenie własnego egotyzmu [2]), podporządkowanie swego «ja» wspólnemu celowi. Odnośnie do szczegółów, wiele bystrych obserwacyj można znaleźć w wymienionej wyżej książce Younga, nie mówiąc już o podstawowych wskazaniach, zawartych w «Zasadach taternictwa» prof. Z. Klemensiewicza. Nie potrzebujemy więc powtarzać, że lepsze jest nawet grubjaństwo od subtelnej złośliwości, przemyconej pod maską dobrego wychowania, ani też pouczać o konieczności zachowania dla siebie nastrojów pesymistycznych. Nikt też nie pochwali taternika, zarzucającego tchórzostwo towarzyszowi, gdy ten rzeczowo wyraża wątpliwości na temat wykonania jakiegoś planu, nad którym toczą się obrady.

IV. Osobny typ wypraw stanowią wędrówki samotne. Wymagają one wyjątkowej sprawności systemu nerwowego. Człowiek, który znajduje się po raz pierwszy samotnie w obliczu gór — choćby na zupełnie łatwej drodze — odczuwa pewien niesamowity ucisk psychiczny, przybierający nieraz postać nieokreślonego lęku. Przezwyciężenie tego ostatniego — zależnie od struktury psychicznej człowieka — wymaga dłuższego lub krótszego terminu a nawet niezawsze da się całkowicie osiągnąć, w żadnym zaś razie nie można odrazu nauczyć się odbywania wypraw bez żadnego towarzysza i zdala od ludzi.

W ogólności, strach jest jedną z przeszkód na drodze do zwycięstwa nad górami. Mózg musi zwalczyć własny wytwór. Środki są różne, zależnie od usposobienia. Zasadniczo jednak należy odróżnić obawę przed przystąpieniem do właściwego przedsięwzięcia taternickiego od nerwowego strachu wobec możliwości natychmiastowej katastrofy. Na pierwszą — lekarstwem jest chłodne, objektywne obliczenie niebezpieczeństw i zastanowienie się nad tem, czy gra warta świeczki. Mimo to, niejednego czasem w obliczu gładkiej ściany do zdobycia ogarnia dziwna jakaś emocja. W pewnych granicach utrzymana, ma ona swój urok, lecz gdy jest zbyt silna — jest szkodliwa i niemiła. Nie przyznajemy się wtenczas wobec siebie samych do

---

[1]) Jest ona bardzo mało rozpowszechniona, nawet wśród dobrych skądinąd taterników. Powód jest jasny: wszak tak rzadko ma się możność doświadczania skuteczności stosowanego ubezpieczenia! Dlatego, wybierając sposób asekuracji, kierujemy się — obok zasad, wyniesionych z lektury — głównie rozważaniami a priori, które mają spore szanse trafności u ludzi, zżytych z mechaniką ogólną, a więc matematyków, fizyków, inżynierów, ale mają tych szans znacznie mniej, gdy chodzi o kogoś, kto nawet skromne elementy fizyki gimnazjalnej zdołał zapomnieć. Z bardziej rozpowszechnionych błędów przytoczymy brak zrozumienia dla konieczności s p r ę ż y s t e j asekuracji.

[2]) Według najnowszych badań psychologów, można go uważać za źródło wszelkiego zła u człowieka. Myśl ta jest bardzo konsekwentnie przeprowadzona np. w książce F. Künkela pt. «Einführung in die Charakterkunde auf individualpsychologischer Grundlage».

uczucia strachu [1]), a przecież symptomaty są dziwnie podobne! Wszak jest to wrodzony człowiekowi lęk przed niewiadomem! Zżycie się z górami, oswojenie z gładziznami skalnemi, uwalnia nas od niego. Gdy uwaga nasza koncentruje się na chwytach i stopieńkach, na chropowatości skały — wtedy zwykle znika niepokój. Pojawi się on może znowu, gdy znajdziemy się nagle w położeniu pozornie bez wyjścia. Każdy taternik był niejeden raz w takiej sytuacji i z konieczności, jeśli w danej chwili jest przy życiu, musiał zawsze wyjść mniej więcej cało z opresji. W ten sposób powstaje stopniowo to, co w psychologji nazywa się pozytywnem przeżyciem: gdzieś aż w podświadomości tkwiące przekonanie, iż «niema sytuacji prawdziwie bez wyjścia» [2]). Im silniej jest w nas ugruntowane to przeżycie, tem łatwiej opanować zdenerwowanie i — co zatem idzie — znaleźć sposób wyratowania się.

Wszystkie te lęki i obawy, wszystkie niepokojące wizje narzucają się ze wzmożoną siłą temu, kto sam jeden walczy z groźną potęgą olbrzymów górskich. Musi on przyzwyczajenie do samotności doprowadzić do tego stopnia, aby stan ten, tak w ciężkiej wspinaczce, jak i podczas biwaku zimowego wydawał się naturalnym. Wówczas dopiero dorastamy do pełnowartościowych wypraw samotnych i odczuwamy ich fascynujący urok, polegający zarówno na nieznanem zwykle człowiekowi cywilizowanemu poczuciu nieograniczonej swobody (głównie w okresach dłuższej samotności, np. gdy się mieszka w schronisku niezagospodarowanem), jak na niezmiernie spotęgowanej wrażliwości na wspaniałość przyrody górskiej.

Wogóle człowiek na wyprawach samotnych żyje — jak się zdaje — bez porównania intensywniej, niż gdy się znajduje z towarzyszami. Jest to skutek ogólnego napięcia nerwowego, koniecznego dla sprostania licznym zadaniom, spadającym na barki jednego człowieka. W pierwszym rzędzie podczas wspinaczki — niezależnie od zupełnej pewności siebie — trzeba spełniać role nietylko pierwszego, lecz i drugiego idącego. Pomijamy zaś takie momenty, jak konieczność zdobywania się samemu na decyzję bez naradzania się z kimkolwiek i t. p.

Jak wiadomo, turyści, chodzący samotnie, posuwają się z ogromną szybkością. Znaczną rolę gra tu niewątpliwie poniechanie asekuracji [3]), lecz nie jest to jedyny moment decydujący, gdyż także na drogach łatwych szybkość jest większa, niż grupy, złożonej z dwóch ludzi. Interwenjuje tu właśnie wspomniane wyżej spotęgowanie pełni życia, które bez zmęczenia czyni nas zdatnymi do pokonywania większych wysiłków, niż wtedy, gdy mamy towarzyszy.

V. Powyższe notatki mają na celu jedynie zwrócenie uwagi ogółu taternickiego na doniosłość poruszanych zagadnień. Może też pojawią się dalsze spostrzeżenia, któreby — w przeciwieństwie do doświadczeń Younga — stosowały się specjalnie do polskiej psychiki lub do łańcucha Tatr. Nie chcie-

---

[1]) E. G. Lammer w nader zajmującym artykule p. t. «Angst — Mut — Freude» (Ö. A. Ztg., Nr. 1080) zwraca uwagę na osobliwą, konwencjonalną obłudę, która nie pozwala alpiniście przyznawać się do tego uczucia. Tymczasem — jak on słusznie zauważa — pewien lęk jest nieodłączny od świadomości niebezpieczeństwa, a zatem «hańbę przynosi nie odczuwanie strachu, lecz uleganie mu».

[2]) To samo formułuje Lammer (loc. cit.) subjektywnie jako poczucie własnej sprawności.

[3]) Wszelkie próby autoasekuracji — nie mówimy oczywiście, o schodzeniu z pomocą liny, które w tym przypadku gra wielką rolę — zawodzą i zawodzić muszą, gdyż niema sposobu zapewnienia linie niezbędnej sprężystości, bez której, przy znaczniejszem szarpnięciu, ona pęknąć musi. Do autoasekuracji trzebaby używać lin dostatecznie elastycznych, co z różnych względów jest niemożliwe.

libyśmy też, aby ostatni ustęp uchodził za propagandę taternictwa samotnego. Wprawdzie ostatnie sezony — zarówno letnie, jak i zimowe — wykazały, iż można samotnie odbywać wyprawy najtrudniejsze we wszystkich rodzajach, wprawdzie ten, kto chodził samotnie — poza ogromem przeżyć — nabiera osobliwego doświadczenia i przyzwyczajeń, które później niezmiernie się przydają na wyprawach, przedsiębranych z towarzyszami, zmniejszając zarazem ryzyko do ostatecznego minimum; ale i tak nie należy zapominać o wydatnem niebezpieczeństwie, jakie samotność za sobą pociąga nawet dla tych nielicznych, którzy do niej dorośli. Nie należy zatem nikogo namawiać do odbywania wypraw samotnych [1]). Niech one będą jedynie wyrazem nieodpartej konieczności wewnętrznej; niech je odbywają tylko ci, co do nich wszechstronnie dorośli i niech je podejmują tylko wtedy, gdy mają po temu odpowiedni nastrój.

Myliłby się z gruntu ten, ktoby przypuszczał, iż najodpowiedniejszym do samotnych wędrówek jest nastrój ponury lub smutny. Nawet ryzykować nie ma się wtenczas ochoty. Melancholja wogóle nie harmonizuje z taternictwem [2]), które wszak stanowi ujście dla nadmiaru energji psychicznej i fizycznej. Ale zwłaszcza samotność wymaga poczucia wszechstronnej pełni sił, które jest niemal radością.

S. Krystyn Zaremba

POMIARY WYSOKOŚCI W TATRACH

Zamieszczamy poniżej artykuł dra Finka, stanowiący wartościowy przyczynek do topografji Tatr, pomimo iż niektóre z jego pomiarów nasuwają wątpliwości. Sądzimy jednak, iż będą one skontrolowane zczasem przez taterników, posługujących się aneroidem [3]). Pomiary, budzące wątpliwość, są poddane krytyce w odsyłaczach (wszystkie odsyłacze w tym artykule pochodzą od redakcji).

Każdemu, kto zna zasady używania aneroidu w górach wiadomo, iż tem dokładniejsze mogą być rezultaty, osiągnięte zapomocą tego instrumentu, im więcej zna się wysokości punktów, leżących na danej drodze. Niestety, posiłkujący się aneroidem ma w Tatrach do dyspozycji stosukowo niewiele punktów, wysokościowo oznaczonych. «Przewodnik» podaje wprawdzie różne wysokości, ale oczywiście nie wszystkie, mapa warstwicowa zaś — choćby najdoskonalsza — na ścianie niemal zupełnie zawodzi. Uważałbym tedy za rzecz pożądaną, by taternicy, używający w Tatrach aneroidu, podawali swe odczyty co jakiś czas do wiadomości ogółu w «Taterniku», podobnie, jak to już dwukrotnie uczynił dr. R. Kordys, zestawiając w «Taterniku» z r. 1911 (str. 67) i z r. 1928 (str. 70) kilkadziesiąt swych odczytów z Tatr Wysokich i Zachodnich.

---

[1]) Pewne objawy budzą obawę powstania mody wycieczek samotnych. W sprawie tej por. odnośne uwagi w rubryce «Z Tatr».

[2]) Przypomnijmy sobie sąd Finch'a, który w «Der Kampf um den Everest» odmawia kwalifikacyj do wypraw wysokogórskich człowiekowi, nie umiejącemu się śmiać.

[3]) Wszystkim, których interesują pomiary wysokościowe, polecamy wyborną książeczkę H. Vallot'a p. t. «Manuel de Topographie Alpine» (Paryż, H. Barrère, 21, rue du Bac).

Poniżej podaję szereg własnych odczytów. Wysokości, zmierzone przy pomocy aneroidu, zaokrąglałem do najbliższej liczby, podzielnej przez 5. Dla łatwiejszej orjentacji, oznaczam liczbą w nawiasie porządkowy numer drogi, wedle «Tatr Wysokich» Chmielowskiego i Świerza.

W drodze na Kozi Wierch z Dol. Pustej (91):

ujście żlebu z Koziej Przełęczy Wyżniej	2060 m
miejsce osiągnięcia bocznego żlebku, już ponad jego progami	2275 m [1]
Wierch pod Fajki	2135 m

W drodze na Mięguszowiecką Przełęcz pod Chłopkiem od Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem (411):

bula nad Czarnym Stawem	1725 m
kazalnica	2160 m

W drodze na Rysy od Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem (456):

przełączka w pn. grani Rysów	2470 m
Białczańska Przełęcz Wyżnia	2070 m
Przełączka między Czeskim Szczytem a Wysoką	2485 m
Siodełko między obu wierzchołkami Smoczego Szczytu	2500 m [2]
Przełączka między Igłą w Wysokiej a Smoczym Szczytem	2395 m
Igła w Wysokiej	2410 m
Siodełko tuż na pd.-wsch. od Igły w Wysokiej	2365 m

W drodze z Zadniego Gierlachu granią na Wyżnią Wysoką Gierlachowską (679):

ostatnie wzniesienie przed wzniesieniem z drewnianym palikiem	2610 m
przełączka na pd.-wsch. od wzniesienia z drewnianym palikiem	2600 m
wzniesienie z drewnianym palikiem	2605 m
przełączka na pn.-zach. od tego wzniesienia	2575 m
Wyżnia Wysoka Gierlachowska	2590 m
Litworowa Przełęcz	2385 m
Wielicka Przełęcz	2295 m

W drodze na Łomnicę przez Łomnicką Próbę (1082):

odgałęzienie się perci w Dol. Zimnej Wody	1640 m

W drodze na Łomnicę przez Niemiecką Drabinę i Miedziane Ławki (1126, 1089):

ujście głębokiego, piarżystego żlebu w pn. urwiskach Małego Kiezmarskiego Szczytu	1675 m
miejsce osiągnięcia grzędy, ograniczającej ów żleb od zach.	1780 m
przełączka między masywem Małego Kiezmarskiego Szczytu a turniczką 2265 m	2255 m [3]
następna przełączka, na której kończy się Niemiecka Drabina	2285 m
terasa u pn.-wsch. końca Miedzianych Ławek	2195 m
miejsce opuszczenia dolnej Miedzianej Ławki	2300 m
miejsce osiągnięcia górnej Miedzianej Ławki	2320 m
przekroczenie potoczku	2410 m

---

[1]) Kota ta, porównywana zarówno z poprzednią, jak i ze znaną wysokością Koziego Wierchu, wydaje się nam znacznie przesadzoną.

[2]) Wcięcie między obu wierzchołkami nie wydaje się nam tak głębokiem, jakby wynikało z tego pomiaru.

[3]) Różnica wysokości między tą przełączką a wspomnianą turniczką wynosi ok. 35 m, zaczem kota omawianej przełączki powinna wynosić ok. 2230 m.

[4]) Oba pomiary na tej drodze są identyczne z pomiarami Gy. Komarnickiego, ogłoszonemi przezeń w II-im tomie 2-go, węgierskiego wydania jego «Przewodnika» (str. 11).

W drodze na Mały Kołowy Szczyt wsch. granią (1164) [4]):
Kopiniak . . . . 2250 m
2-gi i 3-ci wyskok grzbietowy, każdy po . . . . 2255 m
W drodze na Jastrzebią Przełęcz z Dol. Jagnięcej (1166):
odgałęzienie się myśliwskiej ścieżki na «buli» w Dol. Jagnięcej 1900 m
Stawek (bez nazwy) na pn.-wsch. od Koziej Turni, u stóp
tejże (na mapie 1:25000 nie zaznaczony) . . . . 1770 m

Henryk Stanisław Fink

SKALNE DROGI

ZAWRATOWA TURNIA. Nowa droga pn.-wsch. ścianą. Podpisany z J. Kuryłowiczem, dnia 9 sierpnia 1925 r.

Na pd.-zach. od Zmarzłego Stawu, ponad piargami żlebu Zawratowego, wznosi się stroma ściana, kształtu trójkąta, którego boki tworzą dwie wyraźne rysy, a wierzchołek gubi się między dwiema turniczkami; od wierzchołka spada niemal pionowa rysa, tworząca jakby wysokość powyższego trójkąta. Po piargach do stóp tej ostatniej. Lewą jej krawędzią kilkadziesiąt metrów w górę, poczem zbaczamy w l., na małą grzędę. Z niej trawersujemy niebawem w pr., ok. 2 m z powrotem do rynny, stanowiącej przedłużenie opuszczonej przedtem rysy. Rynną w górę, kilkadziesiąt metrów, pod stromy próg. Pokonawszy go z trudem (chwyty b. wysoko), trawersujemy w pr., a następnie wspinamy się wgórę, pod stromą płytę (po obu jej stronach żlebki). W jej pr. krawędzi znajduje się rysa (haki), którą (b. trudno) wydostajemy się na trawki, które — w pr. — doprowadzają do rynny. L. brzegiem tej ostatniej (przy rozgałęzieniach bierzemy się wciąż w l.) kilkadziesiąt metrów pod wąski, pionowy kominek, którym aż do jego końca. Wydostawszy się z niego na trawki z pr. strony ,trawersujemy ukosem w l., poprzez kilka rynien, poczem w górę, wprost na szczyt. Droga częściowo b. trudna; w górnych partjach możliwe warjanty.

J. Golcz

KOŚCIELEC. I. w. zach. ścianą. W. Stanisławski i J. Wojsznis, dnia 13 sierpnia 1928 r.

Zach. ścianę Kościelca przerzyna, w linji spadku wierzchołka, kilkakrotnie przewieszający się komin. Dolna jego część wygląda całkiem niedostępnie, wobec czego wspinamy się początkowo stromem zacięciem na pr. od niego. Zacięcie to, zdążające ku górze z odchyleniem w l., kończy się pod ogromnemi przewieszkami. Tu następuje najtrudniejszy moment drogi: kilkumetrowy trawers w l., ku krawędzi, którą ściana załamuje się ku wspomnianemu kominowi. Trawers ów biegnie pod okapem ogromnej przewieszki; przechodzimy go, zapierając się głową o wspomniany okap (brak chwytów dla rąk zupełny; u początku trawersu hak). Z małego stopnia, znajdującego się na powyższej krawędzi (hak), po okroczeniu b. trudnej ścianki, lądujemy na dużej, piarżystej platformie, znajdującej się w kominie, bezpośrednio ponad dolnem jego urwiskiem.

Od tego miejsca, posuwamy się kominem aż do jego końca. Zaraz powyżej pierwszej platformy, tworzy komin pięciometrową, dość trudną przewieszkę, po której osiągamy następną platformę. Nad nią komin zwęża się w ciasną i przewieszoną czeluść, poprzez którą — zapieraniem się — na mały, piarżysty stopieniek. Z niego, przez dwumetrową przewieszkę, na trzecią i ostatnią, piarżystą platformę, ponad którą komin się gubi w przewieszonej ścianie.

Ścianę tę przerzynają trzy rysy, rozchodzące się promieniście od ostatniej platformy. Najbardziej na l. z nich położona jest niezwykle krucha, płytka i kilkakrotnie przewieszona; dwie inne natomiast otwierają możliwości przejścia. Początkowo wspinamy się najbardziej na pr. położoną z pośród nich, ta jednak odchyla się za bardzo od kierunku naszej drogi i tworzy dużą przewieszkę. Tuż poniżej tej ostatniej trawersujemy (b. trudno; hak) po nader skąpych stopieńkach parę metrów w l., do środkowej z omówionych rys i tą ostatnią — w trudnej wspinaczce — do jej górnego końca, poczem, poprzez płytowe skały, z lekkiem odchyleniem w pr., na trawiasty stopień, a z niego na wygodny, duży upłazek pod charakterystyczną, pionową płytą. Omijając ją z l. strony, łatwym terenem na l. brzeg ogromnej, mało nachylonej płyty i nią — wykorzystując jej pęknięcia — skośnie w pr., do żłobiącego ścianę nad nią, trzymetrowego zacięcia, wyprowadzającego nas na l. brzeg dużego, trawiastego tarasu. Przeszedłszy nim, z ominięciem urwistej ścianki, kilka kroków w pr., zwracamy się — z odchyleniem w l. — wprost ku szczytowi, który osiągamy łatwym, trawiasto-skalistym terenem (2 godz.). Droga nadzwyczaj trudna.

MAŁY KOZI WIERCH pn. ścianą.

Pn. urwiska Małego Koziego Wierchu przerzynają trzy żleby, częściowo przybierające charakter kominów. Lewy z nich, skośnie w pr., wyprowadza na wąskie wcięcie we wsch. grani, w którem Orla Perć przewija się na pn. stronę; środkowy biegnie — mniej więcej w linji spadku wierzchołka — nieco ukosem w l. i doprowadza do przełączki w orogr. l. grzędzie l. żlebu, ok. 30 m poniżej szczytu; prawy biegnie już całkiem poza linją spadku wierzchołka. Pierwsze przejście ściany, dokonane 25 lipca 1926 r. przez A. Szczepańskiego i S. K. Zarembę, odbyło się środkowym, nadzwyczaj stromym żlebem aż do jego końca, poczem skośnie w pr., skalisto-trawiastym terenem, wprost na wierzchołek. W żlebie — zazwyczaj częściowo zaśnieżonym — znajduje się szereg stromych progów do pokonania, w tem, w dolnych partjach, jeden b. trudny. Powyższa droga jest krajobrazowo piękna i stanowi dobre rozwiązanie ściany. Dnia 6 września 1927 r. dokonali H. Mogilnicki i J. A. Szczepański II przejścia tej drogi, przyczem ten ostatni znalazł w górnej części warjant, który polega na wykorzystaniu odgałęzienia omawianego żlebu w pr. Warjant ten jednak drogę nieco utrudnia, nie wyprostowując jej bynajmniej[1]).

Droga (trudna) J. A. Szczepańskiego i S. K. Zaremby z 21 września 1927 r. prawym żlebem — jako wiodąca zbyt daleko od linji spadku szczytu, w pobliżu tzw. «nowego Zawratu» — jest pozbawiona znaczenia. Natomiast droga — dość trudna — którą znalazł S. K. Zaremba 20 września 1927 r., prowadzi w całej jego rozciągłości lewym żlebem, a zatem całkiem blisko linji spadku wierzchołka, dostarcza najłatwiejszego sposobu przejścia omawianej ściany, odznacza się ładną scenerją skalną i ma znaczenie w zimie.

KOZIA PRZEŁĘCZ WYŻNIA. I. wyjście wprost z Dol. Pustej. Podpisany z bratem swym Alfredem i J. Honowską, dnia 16 lipca 1928 r.

Z dna Dol. Pustej po piargach i maliniakach, do ujścia wybitnego, urwistego, w dolnej części zazwyczaj śniegiem wypełnionego żlebu, spadającego wprost z ostrego wcięcia Koziej Przełęczy Wyżniej ku pd. Dnem żlebu w górę. Najpierw poprzez dość trudny próg wstępny — o ile w żlebie

---

[1]) Został on dlatego pominięty w zestawieniu nowych dróg za r. 1927 w «Taterniku» (rok XII, Nr. 1, str. 16).

leży śnieg, wykonujemy niełatwą wspinaczkę w szczelinie między śniegiem a pr. zamknięciem żlebu — następnie, z pomocą zapierania się, poprzez nowy, 12-metrowy, trudny i częściowo przewieszony próg — i dalej wciąż dnem żlebu poprzez pomniejsze prożki. Po przebyciu nowego, dość trudnego, progu, podchodzimy pod główne spiętrzenie żlebu (przybierającego tu charakter b. głęboko wciętego komina). Poprzez trudny próg przesuwamy się na rodzaj tępego zacięcia w pr. kącie komina. Zacięciem tem, wśród wzrastających z każdą chwilą trudności, — w fatalnym, kruchym, źle uwarstwionym terenie — w górę, ku ogromnej, z doliny już widocznej, nyży pod wklinowanym w całą szerokość żlebu, olbrzymim blokiem. Po 10 metrach częściowo nadzwyczaj trudnej wspinaczki, lądujemy na obszernej, gruzem zasłanej platformie, zakończonej dopiero co wymienioną nyżą (w nyży kopczyk i bilety). Stąd l. ścianką ok. 15 m po niesamowicie kruchej skale, nadzwyczaj trudno i ryzykownie w górę, na odstające, malutkie, trawiaste żeberko, a z niego poziomy, trudny trawers w pr., po dobrej skale zpowrotem do żlebu, ok. 10 m ponad ów wklinowany blok. Żlebem w górę, wprost na przełęcz (od wejścia w skały 2 godz.). D r o g a p i ę k n a i e f e k t o w n a, l e c z n a d z w y c z a j t r u d n a i n i e b e z p i e c z n a, n a l e ż ą c a d o n a j t r u d n i e j s z y c h p r z e j ś ć t a t r z a ń s k i c h. J. A. Szczepański

GALERJA GANKOWA. II[1]) z e j ś c i e k u p n.- w s c h. Podpisany z bratem swym Alfredem i J. Honowską, dnia 14 lipca 1928 r.

Bezpośrednio z miejsca w pn.-wsch. kącie Galerji Gankowej, gdzie znajduje się kopczyk z biletami turystów, przechodzących pn. ścianę Galerji, schodzimy na stronę Dol. Kaczej, kierując się z lekkiem odchyleniem w pr. poprzez strome trawiasto-skaliste stopnie. Zaraz na początku jeden próg skalny jest dość trudny, jednak bez ekspozycji. W dalszym ciągu teren staje się zupełnie przejrzystym; posuwamy się szeroką, stromą grzędą, schodzącą między głębokiemi żlebami. Gdzie grzęda zaczyna opadać niepokojąco stromo — w l., do najbliższego żlebu (skalista rynna), poczem na następującą tu l. grzędę. Dalej w dół, całkiem łatwo, po trawie i skale. Tuż przed miejscem, gdzie teren, którym schodzimy, urywa się potężnemi zerwami, przechodzimy na wybitną, najbardziej l. grzędę, i to w najniższem, łatwo dostępnem jej miejscu. Nieoczekiwanie odsłania się tu możliwość całkiem łatwego trawersu w dół w l. zapomocą poczynającej się tu, wyraźnej koziej perci, wiodącej wygodnym zachodem ostro w l. tuż pod urwiskami, w zygzak po stromej skale ok. 50 m, w nieco trudnej wspinaczce na piargi, któremi nad Zielony Staw (2 godz.). D r o g a k r ó t k a, n i e c o t r u d n a, n a d a j ą c a s i ę d o s c h o d z e n i a, d l a t u r y s t ó w, p r a g n ą c y c h, p o z w i e d z e n i u p n. ś c i a n y G a l e r j i G a n k o w e j, p o w r ó c i ć s z y b k o n a P o l a n ę p o d W y s o k ą, n a j b a r d z i e j p r a k t y c z n a i n a j ł a t w i e j s z a[2]). J. A. Szczepański

KIEZMARSKI SZCZYT. I. w y j ś c i e p n.- z a c h. ś c i a n ą. E. Payerówna, A. Grosz, G. Lingsch i G. Seide, dnia 3 sierpnia 1927 r.

Kiezmarski Szczyt tworzy nad Miedzianemi Ławkami płytowy cokół, w którym najwięcej zwraca uwagę niewielka, wystająca platforma, tworząca

---

[1]) Pierwszego zejścia dokonali ci sami turyści, którzy znaleźli drogę w wyjściu, tegoż dnia (patrz Nowe drogi w Tatrach w latach 1925—1927, «Taternik», rokXII, str. 13).

[2]) P. Janusz Chmielowski uważa za prawdopodobną możliwość znalezienia łatwego zejścia do Dol. Czeskiej ze środkowych (na pd.-zach. od Kaczej Turni położonych) partyj pn.-wsch. grani Małego Ganku, któreby turystom, zwiedzającym pn. ścianę Galerji, pozwalało wracać w trzewiczkach do rzeczy, pozostawionych u stóp ściany (Red.).

rodzaj kazalnicy. Znajduje się ona o 60 m wyżej od Miedzianych Ławek, niedaleko załamania, za którem omawiana ściana zwraca się w stronę Małego Kiezmarskiego Szczytu. Na tę kazalnicę wyprowadza skośnie od pr. ku l. stronie biegnąca, krucha, piarżysta rynna, do dolnego końca której — wszedłszy w ścianę mniej więcej w $^1/_3$ jej szerokości — wspinamy się poprzez b. wysokie stopnie.

Na samym dole, po jakich 15 metrach, napotykamy b. strome, trawiaste wcięcie, po którem osiąga się wspomnianą rynnę. Nią na usianą olbrzymiemi blokami kazalnicę, którą od ściany oddziela głębokie pęknięcie. Od l. końca tego pęknięcia wprost wgórę, w kierunku wierzchołka, ku nader stromo wznoszącej się, w środku ściany widocznej rynnie, która ku górze zwęża się i przybiera na nachyleniu. Rynna ta stanowi najgłębszą depresję w ścianie; poznać ją także można po charakterystycznym bloku, wklinowanym ok. 40 m powyżej dolnego jej końca.

Zwracamy się najpierw ku owym czerwonym skalom, które znajdują się obok dolnego końca omówionej rynny. Stanąwszy bezpośrednio u stóp powyższych czerwonych plam, przezwyciężamy niewielką, ok. 5 m wysokości liczącą, ubogą w chwyty ściankę (najtrudniejsze miejsce), wkładając palce rąk do ciasnego pęknięcia skały, które biegnie ku górze i — na niewielkiej przestrzeni — posuwając się, zawieszeni niemal całkowicie na rękach. Powyżej, posuwając się już łatwiej, nieco skośnie w l., osiągamy — po przebyciu mniej więcej 40 metrów od wspomnianych czerwonych plam — gruzem zasłany zachód (na l. widać odstający filar skalny). Stąd kilkanaście metrów w pr., wąską listwą ku licznie nastermanym, nie budzącym zaufania blokom, odszczepionym od ściany. Po tych ostatnich wprost w kierunku szczytu. Niebawem natrafiamy na dwa zachody, wznoszące się w pr., ku górze. Górnym z nich — ogromnie kruchym — aż do jego końca. Przekroczywszy ograniczające go z pr. strony żebro, wspinamy się znowu wprost do góry stromą depresją lub też obok niej ok. 30—35 m, dostrzegłszy zaś ponad nami z l. strony łagodniej wznoszącą się rynnę, osiągamy ją poprzez gładką ściankę, z pomocą żywej drabiny (pierwsi zdobywcy ściany szli w gwałtownej ulewie), której jednak można uniknąć, trawersując mniej więcej poziomo w l. Po jakichś 40 metrach przechodzi rynna w popękane i kruche stopnie skalne, które zkolei ustępują miejsca już bardziej połogo leżącym blokom. Po przebyciu dalszych 30 metrów, możemy już po piargu podejść podejść pod najwyższą ścianę szczytową. Tę ostatnią przezwyciężyć można na kilka sposobów. Najłatwiej to uskutecznić, zwracając się najpierw w stronę Wideł, następnie podchodząc po ogromnych blokach pod wierzchołek i wkońcu osiągając go we wspinaczce po mocnej skale grani szczytowej (od Miedzianych Ławek 2—$2^1/_2$ godz.).

Droga naogół dość trudna, z jednem miejscem b. trudnem, mogącem nawet uchodzić za nadzwyczaj trudne. Wspinaczka nie jest szczególnie wdzięczna, gdyż skała miejscami krucha.

ITINERARIA

I. w. z. na Mały Kiezmarski Szczyt od pn.

Podpisany, z J. Honowską i Z. Krókowską, 8—9 kwietnia 1928 r. — Zielony Staw Kiezmarski $5^h25'$, początek dolnego żlebu pn. ściany $6^h10'$, łańcuch powyżej dolnego żlebu $7^h30'$, kocioł 1986 m $10^h15'$, przełączka w pn.-zach. grzędzie $15^h50'$, turnia 2265 m $16^h00'$, miejsce biwaku na pn.-zach. grzędzie (w wys. ok. 2430 m) 19^h30—$5^h15'$, Mały Kiezmarski Szczyt $7^h45'$—$10^h30'$, Rakuska Przełęcz $13^h30'$, Zielony Staw Kiezmarski $15^h50'$.

Wyprawa podjęta w bezchmurnej pogodzie, lecz bezpośrednio po dwudniowych, dość znacznych opadach śnieżnych, skutkiem których — w miejscach osłoniętych od wiatru, jak dolny żleb pn. ściany, lub Niemiecka Drabina — ok. 35 cm puchu, prawie nie zespolonego z twardym, starym śniegiem. Wyjście ze żelbu ku zachodzikom pn. ściany (por. opis w Przewodniku J. Chmielowskiego i M. Swierza pod Nr. 1126) z pomocą łańcucha i po olodzonych trawkach. Zachodziki, doprowadzające do kotła 1986 m, przysute starym, korzystnym śniegiem i zrazu nietrudne. Dopiero — odmienne od opisanej w Przewodniku drogi, poniżej niej wiodące i bez straty wysokości cały czas trawersujące do góry w poprzek ściany (praktyczniejsze zresztą, zarówno latem jak i zimą) — ok. 40 m długie dojście do samego kotła — trudne i ryzykowne, po olodzonych a prawie bezśnieżnych trawkach. W Niemieckiej Drabinie (por. opis Przewodnika J. Chmielowskiego i M. Świerza pod Nr. 1089) mozolne przekopywanie się przez puch do zestalonej dolnej warstwy śniegu. W $^4/_5$ jej wysokości, ponad miejscem, gdzie tworzy poziomą platformę — tu przykry trawers po wąskim i nadzwyczaj stromym pasku śnieżnym, oczekującym zsunięcia się w dolinę — ośnieżenie przerwane na przestrzeni 6 m; trudna ścianka lodowa. Łatwo na turnię 2265 m (I w. z.). Ostrze grzędy pn.-zach. w swym dolnym uskoku suche. Natomiast próby wyjścia nią sposobem letnim (por. końcowy ustęp opisu, zamieszczonego w Przewodniku J. Chmielowskiego i M. Świerza pod Nr. 1125), skutkiem silnego olodzenia zawodzą. A więc ok. 100 m poważnej wspinaczki skalnej, ściśle ostrzem grzędy. Górna część grani silnie ośnieżona i dająca piękną, średnio trudną robotę zimową. Zato grań pn.-wsch. w warunkach nawpół letnich, jak po pierwszym śniegu jesiennym. Zejście z Rakuskiej Przełęczy wprost ku pn. bezpieczne i łatwe, w płytkim śniegu. Pierwszego dnia lekki mróz, nazajutrz słaba odwilż, w nocy mróz dość znaczny. Biwak bez rozpięcia namiotu, ale, jak — zdaniem podpisanego — każdy biwak kwietniowy wpogodzie, niewiele się różniący od biwaków letnich. J. A. Szczepański

I. w. zim. pn. ścianą ną Mały Kozi Wierch.

Podpisany, 27 marca 1929 r. — Hala Gąsienicowa 4h45′, Czarny Staw Gąsienicowy 5h40′, u wejścia w ścianę 8h00′. siodełko we wsch. grani 9h20′, Mały Kozi Wierch 9h25′—11h10′, Zawrat 11h30′, Czarny Staw Gąsienicowy 12h30′—12h50′, Hala Gąsienicowa 13h45′. Pogoda mglista, wietrzna; chwilami opady śnieżne, temperatura nieco poniżej zera. W miejscach, wystawionych na działanie słońca — niezły firn, na pn. stokach i w kotlinie Zmarzłego Stawu — śnieg grząski. Wyjście drogą podpisanego z 20 września 1927 r. (zob. «Skalne drogi»), bez użycia nart w podejściu. Główny próg w dolnej części żlebu pokryty warstwą lodu, w której miejscami można rąbać stopieńki dla zahaczania przedniej pary zębów u raków. Z góry strumieniem zesuwa się świeży śnieg, zasypując natychmiast wyrąbane stopieńki. Dalej aż do grani po śniegu, miejscami sprasowanym przez wiatry, jak to bardzo często bywa w stromych żlebach.

Uwaga: Przebycie zimą żlebu jest — przy dzisiejszym stanie techniki górskiej — możliwe tylko pod warunkiem dostatecznego zaśnieżenia, które nie w każdym sezonie ma miejsce. S. K. Zaremba

I. w. zim. wsch. ścianą na Kościelec.

Podpisany, 29 marca 1929 r. — Hala Gąsienicowa 4h15′, Czarny Staw Gąsienicowy 5h10′, siodełko we wsch. grańce 8h00′, siodełko w pd. grani 9h10—9h15′, pd. wierzchołek Kościelca 10h00′—11h30′, na piargach pod Przełęczą w Kościelcu 12h10′—12h40′, Karb 13h00′, Czarny Staw Gąsienicowy 13h15′, Hala Gąsienicowa 13h45′. Rano pogodnie, później mgły z przejaśnieniami; lekki mróz. Warunki śnieżne naogół, jak wyżej, miejscami tylko nieco większe skupienia świeżego śniegu. Wyjście — bez używania nart w podejściu — dokładnie drogą Nr. 52 Przewodnika Chmielowskiego i Świerza, aż do wsch. grańki — całkowicie po śniegu (niezwykle grząskim, o ile chodzi o trawers po pokonaniu 70-metrowego kominka). Dalszy trawers ku pd. grani — częściowo po b. twardym firnie. W kominku, wyprowadzającym na grań — świeży, sypki śnieg, zmuszający do uciążliwego rozpierania się. Uskoki grani suche, reszta przykryta koniami śnieżnemi. Zejście wprost z pd. wierzchołka do Dol. Stawów Gąsienicowych.

S. K. Zaremba

SPRAWY SEKCJI

Posiedzenie Zarządu z dnia 25 maja 1929 r.

Obecni: dr. S. Komornicki, Z. Roszkówna, J. K. Dorawski, dr. W. Łaba, dr. M. Świerz, dr. W. Zakrzewski, mr. S. K. Zaremba, później także prof. J. Lande.

Przed porządkiem dziennym, przewodniczący wita nowego członka Zarządu w osobie p. Z. Roszkówny i odczytuje pismo ks. J. Humpoli, usprawiedliwiające jego nieobecność na posiedzeniu. Protokół z poprzedniego posiedzenia zostaje przyjęty bez sprzeciwu. W związku z nim, przewodniczący zdaje sprawę z wykonywania niektórych agend w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Przechodząc do następnego punktu porządku dziennego, przewodniczący odczytuje pismo p. J. K. Dorawskiego, zawierające prośbę o zwolnienie ze stanowiska członka Zarządu i sekretarza Sekcji, umotywowane przeciążeniem pracą zawodową. W dyskusji, która się wywiązała, p. J. K. Dorawski wyjaśnia, iż decyzja ta, aczkolwiek dla niego samego bardzo przykra, jest nieodwołalna. Wobec tego, ustąpienie zostaje przyjęte bez sprzeciwu. Ponieważ ustępujący sekretarz, zapytany przez przewodniczącego, nie wskazuje żadnego kandydata na swego następcę, mr. S. K. Zaremba proponuje prof. Jerzego Landego, który zostaje wybrany jednomyślnie i natychmiast zawiadomiony o tem drogą telefoniczną. Dalej zostaje wybranym na członka Komitetu Redakcyjnego «Taternika» p. Konstanty Narkiewicz-Jodko. Jeszcze podczas dyskusji nad tą sprawą, przybywa prof. J. Lande, którego serdecznie wita przewodniczący.

Stan finansowy Sekcji przedstawiają przewodniczący i skarbniczka. Wynika z niego, iż administracja lwowska «Taternika» po likwidacji wypłaci do Kasy Sekcji około 500 zł. i że środki do wydawania organu Sekcji są zapewnione na przyszłość. Konto Sekcji w P. K. O. będzie założone w najbliższym czasie. Uchwalono wyrazić na piśmie podziękowanie wszystkim oddziałom P. T. T. i prywatnym osobom, które udzieliły subwencji na wydawnictwo «Taternika». Omówiono dalej szereg spraw, związanych ze skarbem Sekcji i administracją jej organu, m. i. kwestję współdziałania finansowego Sekcji Taternickich A. Z. S. w Krakowie i Warszawie przy wydawaniu tego pisma. Upoważniono Prezydjum do załatwienia tej pilnej sprawy. W sprawie funduszu im. Mieczysława Karłowicza, przewodniczący odczytuje kopję swego listu do p. Jankowskiego, depozytarjusza funduszu, tudzież jego odpowiedź, zawierającą zapowiedź korzystnej waloryzacji pod warunkiem utrzymania wspomnianego funduszu. Propozycję przyjęto jednogłośnie.

Na członków Sekcji przyjęto pp. dra Stanisława Szelągowskiego z Brzezin, Witołda Wyszyńskiego z Grenobli oraz Antoniego Zalewskiego z Lublina. Na zapytanie dra M. Świerza, Prezydjum zdało szczegółowo sprawę z poczynionych badań wstępnych nad organizacją wyprawy Sekcji w góry pozaeuropejskie. Ze sprawozdania tego wynika, iż powyższa sprawa wkroczyła już na realne tory. To samo można powiedzieć o sfinansowaniu ekspedycji, zapoczątkowanem przez subwencję w kwocie 1000 zł. na pokrycie pierwszych kosztów organizacyjnych, wstawioną do uchwalonego dnia 14 kwietnia b. r. przez Zjazd Delegatów P. T. T. w Krynicy preliminarza budżetowego na rok bieżący. Wreszcie, na skutek interpelacji mra S. K. Zaremby, popartej przez dra M. Świerza, Prezydjum zobowiązało się do poczynienia niezbędnych kroków, celem zabezpieczenia stanu posiadania Sekcji w Dworcu Tatrzańskim w Zakopanem.

Nadzwyczajne Ogólne Zgromadzenie Członków Sekcji Turystycznej P. T. T. odbyło się w Krakowie, w Biurze P. T. T., dnia 1 czerwca 1929 r. Na imienne zaproszenia przybyło członków 14.

Protokół:

Przewodniczączący dr. S. Komornicki otwiera Zgromadzenie o godz. 18 min. 10 witając członka honorowego dra Adama Lewickiego, delegata Zarządu Głównego P. T. T. mra S. K. Zarembę i zamiejscowych członków. Delegat Zarządu Gł. życzy zgromadzeniu pomyślnych obrad. Z kolei przewodniczący odczytuje listy i telegramy członków honorowych: inż. L. Chałubińskiego, prof. dr. Z. Klemensiewicza, dr. R. Kordysa i inż. J. Maślanki, którzy nie mogli przybyć na Zgromadzenie i uroczystość wręczenia im dyplomów. Na sekretarza powołuje przewodniczący mra Zarembę.

Porządek dzienny: 1. Odczytanie protokołu z XIX Ogólnego Zgromadzenia Sekcji. Na wniosek dra E. Janczewskiego uchwalono jednomyślnie protokołu nie odczytywać, gdyż był on wydrukowany w nrze 4/6 «Taternika» z r. 1928.

2. Przedłożenie do uchwały nowego statutu Sekcji. Przypomniawszy okoliczności, wskutek których Sekcja musi przyjąć nowy statut, przewodniczący udziela

głosu drowi W. Łabie, który odczytuje cały projekt statutu, opracowany przez Zarząd Sekcji. Skoro w dyskusji ogólnej nikt nie zabrał głosu, przystąpiono do dyskusji szczegółowej; przewodniczący odczytywał i uzasadniał kolejno paragrafy projektu, dr. Łaba zaś cytował te ustępy statutu P. T. T., na które projekt się powołuje. Każdy paragraf poddany był dyskusji i przegłosowany. W dyskusji nad § 5 (część 2) zabrał głos p. T. Ciesielski, proponując wyraźne określenie minimum wymagań, którym winni czynić zadość kandydaci na członków, zarówno pod względem znajomości Tatr, jak i w zakresie techniki górskiej. W ożywionej rozprawie zabierali głos przeciw tej propozycji pp.: dr. M. Korowicz (częściowo), przewodniczący, mr. Zaremba (dwukrotnie), H. Grosman i dr. W. Zakrzewski, za nią przemawiał obszernie p. J. K. Dorawski. Po zamknięciu dyskusji na wniosek mra Zaremby, dr. Korowicz uzasadnił kompromisowy wniosek o dodanie do § 5 następującego ustępu: «Walne Zebranie uchwala corocznie instrukcję dla Zarządu, określającą ilość i jakość wypraw, jakiemi kandydat na członka winien się wykazać». Wniosek ten upadł w głosowaniu. Natomiast przyjęto poprawki dra Korowicza do §§ 14 i 20 (zmiana wyrazu «zresztą» na «poza tem») jednomyślnie, do § 30 (wyrażenie «na tle spraw, związanych z działalnością tejże» zamiast proponowanego «w sprawach tejże») większością głosów. W takiem kolejnem głosowaniu przyjęto §§ 1, 4, 5 (cz. 1), 6, 7, 9, 11, 12, 14, 15, 17—26 i 28—32 jednomyślnie, pozostałe zaś większością głosów. W następnem głosowaniu en bloc statut został przyjęty 9 głosami przy dwu wstrzymujących się od głosu.

Po wyczerpaniu porządku dziennego, przewodniczący zwrócił się z krótkiem przemówieniem do dra Adama Lewickiego i wręczył mu ozdobny dyplom Członka Honorowego Sekcji. Dr. Lewicki dziękował ze wzruszeniem, także w imieniu nieobecnych Członków Honorowych, mianowanych na XIX Og. Zgromadzeniu. Przewodniczący zawiadomił zebranych, że dyplomy będą nieobecnym Członkom Honorowym przesłane pocztą, poczem zamknął Zgromadzenie o godz. 20.

Sekretarz: w. z. S. K. Zaremba mp.

Przewodniczący Dr. Stefan Komornicki mp.

Z TATR

Sezon zimowy 1928/9 r.

W przeciwstawieniu do ubiegłych sezonów zimowych, a zwłaszcza do ostatniego z nich, uderzała tej zimy każdego nikłość ilościowa ruchu taternickiego. Niewątpliwie, w znacznej mierze przyczyniły się do tego niesprzyjające warunki atmosferyczne i śnieżne w okresach, w których najwięcej stosunkowo ludzi ma możność udawania się w góry, mianowicie w ostatnim tygodniu grudnia, a zwłaszcza w czasie Świąt Wielkanocnych i dni bezpośrednio po nich następujących. Trzeba jednak przyznać, iż marzec był piękny i ci, którzy w Wielkim Tygodniu odbywali wycieczki, zastali — mimo psującej się pogody — jeszcze wcale korzystne warunki śnieżne. Jednakowoż znaczna część taterników, czynnych w ciągu poprzednich sezonów zimowych, wcale nie pojawiła się tego roku u stóp gór.

Liczba wycieczek, podejmowanych od południa — aczkolwiek również stosunkowo dość skromna — przewyższała może nawet ilość polskich wyjść. Natomiast nasi przyjaciele spiscy ograniczyli się wyłącznie do powtórzeń i to dróg przeważnie łatwiejszych, podczas gdy czynni tej zimy polscy taternicy przechodzili przeważnie drogi nowe, przedstawiające nieraz bardzo znaczne trudności, jak wsch. ściana Kościelca i pn. ściana Małego Koziego Wierchu, na wyprawach zaś, przedsiębranych w warunkach niekorzystnych, zdobywali się na znaczne wysiłki, uwieńczone tym stopniem powodzenia, jaki był wogóle możliwy. W związku z różnicą pomiędzy charakterem wypraw, urządzanych z obu stron Tatr, znajduje się charakterystyczny fakt, że podczas, gdy z południowej strony nie było chyba wyprawy bez nart, polscy taternicy — pomijając tych, którzy udawali się w góry dla jazdy na nartach jako takiej — przeważnie z tego środka nie korzystali wcale.

Uderzającem jest, iż rodacy nasi — poza jednem jedynem wyjściem, dokonanem na terenie Republiki Czechosłowackiej, lecz po stronie północnej — ograniczyli w tym roku swą działalność do Tatr Polskich, przyczem większość nowych przejść zimowych odnosi się do masywów dwóch szczytów: Kościelca i Małego Koziego Wierchu. Stan taki jest anormalny i nie przynosiłby zaszczytu polskiemu taternictwu zimowemu, gdyby miał się powtórzyć w następnych sezonach; są jednak powody do przypuszczania, iż stało się tak jedynie przypadkowo i że polscy taternicy — którzy dokonali już tylu wyjść po tamtej stronie granicy — w przyszłym roku znów wyruszą na podbój liptowskich i spiskich olbrzymów.

Z cech charakterystycznych omawianego sezonu, niepodobna pominąć, nigdy dotąd niespotykanej, przewagi wyjść samotnych i to zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym — przynajmniej jeśli chodzi o stronę polską. Nie sądzimy, aby ta nadmierna skłonność do wypraw samotnych mogła przynieść dobre owoce. Pomijając już względy bezpieczeństwa, chodzenie z jednym bodaj towarzyszem przynosi pewne specyficzne wartości, polegające na doprowadzeniu do idealnego zgrania się, do solidarności i współpracy towarzyszy, równie istotne, jak np. urok samotności; byłaby to wielka szkoda, gdyby — przez osobliwy snobizm — pozbawiono najmłodsze pokolenie, tej wybornej, a tak dla niego potrzebnej szkoły uspołecznienia, a zarazem odebrano mu tak piękne uczucie męskiej przyjaźni wobec wypróbowanego towarzysza wypraw.

Widzimy jednak pewien rys dodatni w rezultatach ostatniego sezonu. Jest nim prawdziwie zimowy charakter większości rozwiązanych problemów. Zdaje się iż — wraz z zaufaniem do śniegu — szerzy się wśród garstki taterników zimowych pojęcie istoty i stylu problemu zimowego.

Dajemy niżej wykaz ważniejszych przejść zimy 1928/9:

Niebieska Przełęcz. I. z. z. ku pn.[1]): J. A. Szczepański, 25 kwietnia.

Zawratowa Turnia. I. w. z. od pn.-zach.: ten sam, tegoż dnia.

Kościelec. I. w. z. wsch. ścianą na pd. wierzchołek: S. K. Zaremba, 29 marca. I. prz. z. Przełęczy w Kościelcu z kotliny Czarnego Stawu Gąsienicowego do Dol. Stawów Gąsienicowych: Z. Roszkówna i S. K. Zaremba, 29 grudnia. I. w. z. od pn.-wsch.: J. A. Szczepański, 24 kwietnia.

Mały Kozi Wierch. I. prz. z. pd. grani: J. A. Szczepański i S. K. Zaremba, 3 lutego. I. w. z. pn. ścianą: S. K. Zaremba, 27 marca. I. w. z. z Dol. Pustej: W. Midowicz, 16 marca.

Gładki Wierch — Liptowskie Mury — Wrota Chałubińskiego. Przejście graniami: S. Leszczycki i W. Midowicz, 17 kwietnia.

Mała Kapałkowa Turnia. I. w. z.: J. A. Szczepański, 28 kwietnia [2]).

Przełęcz pod Kopą — Jagnięcy Szczyt — Kozia Turnia. Przejście graniami: kilku taterników spiskich, w marcu.

Poza tem zwiedzono sporo łatwiej dostępnych szczytów, jak szereg wyniosłości Tatr Zachodnich, Świnicę, Miedziane, Krywań, Basztę Skrajną, Koprowy Wierch, Rysy (od pd.), Wysoką, Szeroką Jaworzyńską. Sławkowski i Świstowy Szczyt, Łomnicę i inne. Pomijamy zaś zupełnie nader liczne, czysto narciarskie wycieczki, śmiałemi niegdyś, dziś już utartemi szlakami, jak trawersowanie Kasprowego Wierchu, Liljowe, Zawrat, Gładkie, Zawory, Koprowa Przełęcz, Polski Grzebień, Rohatka, Przełęcz pod Kopą i t. d.

Szczególnie groźne tego roku niebezpieczeństwo lawin, które niejednego taternika odwiodło od zuchwalszych prób, jeszcze dotkliwiej dało się we znaki niedoświadczonym najczęściej narciarzom, powodując szereg wypadków z których jeden śmiertelny.

NOTATKI

† **Katarzyna Bröske**, żona znanego taternika, lekarza weterynarji, b. dyr. rzeźni miejskiej w Zabrzu — Maksymiljana Bröskego, najwybitniejsza w swoim czasie taterniczka i jedna z najdzielniejszych wysokogórskich turystek niemieckich, zakończyła życie — po ciężkiej operacji i długiej chorobie — w dniu 5 lutego br., we Wrocławiu. Tatrzańskie wyprawy Zmarłej obejmują — między wieloma inemi, nader interesującemi — takie niezapomniane zdobycze, jak: I. wyjście na Żabiego Konia i I. przejście pd. ściany Ostrego Szczytu. Pierwszemi poważniejszemi jej wycieczkami w Tatrach były (w 1902 r.): Łomnica drogą Jordana i Pośrednia Grań drogą Bröckelmanna, ostatniemi (w 1907 r.): Szarpane Turnie (II wyjście; drogą Dubkego) i Żabi Koń (powtórnie; V wyjście wogóle). W latach 1908—1912 chodziła śp. K. Bröske wyłącznie już tylko po Alpach (w których debiutowała w 1905 r., wraz z Sz. Häberleinem, pod wodzą Michała Gschwendtnera, poznając kilka «klasycznych» tur w Kaisergebirge i w Dolomitach (w których była również w 1906 r. i 1907 r.), gdzie dokonała całego szeregu pierwszorzędnych wspinaczek. W latach 1912 i 1913 wygłosiła we Wrocławiu kilka odczytów w Śląskiej Sekcji Węg. Tow. Karpack., o Tatrach i Alpach. — Zeszła do grobu szczera miłośniczka gór i niezwykle śmiała alpinistka.

---

[1]) Zejście odbyło się nie z samej przełęczy, lecz z grani, łączącej ją z Zawratową Turnią, powyżej koni skalnych.

[2]) Do wysokości ok. 2070 m. towarzyszył mu F. G. Larisch.

✝ **Krystyn Klucker,** ostatni z pośród sławnych przewodników alpejskich epoki klasycznej, zmarł w wieku lat 75 w rodzinnej wiosce Sils-Fex w Engadinie. Był towarzyszem wypraw wielu znakomitych alpinistów, z których wymienimy tylko Whympera, Farrara, Güssfeldta. Z tym ostatnim i z wielkim włoskim przewodnikiem Emilem Reyem dokonał w r. 1893 po raz pierwszy przejścia grani Peuterey, stanowiącego po dziś dzień jedno z największych przedsięwzięć w całych Alpach. Lecz i inne jego — bardzo liczne — pierwsze przejścia we wszystkich niemal częściach Alp nic nie tracą na porównaniu z tym wyczynem. Z wypraw pozaalpejskich odbył tylko jedną, mianowicie w r. 1901, z Whymperem w Góry Skaliste. Natomiast w zakresie alpinizmu zimowego był prawdziwym pionjerem, odbywając niektóre wyprawy samotnie. W wieku lat 46 spróbował jazdy na nartach i niebawem, jako samouk, doszedł do takiej sprawności, iż powołano go na instruktora wojskowych oddziałów, nietylko szwajcarskich, ale także i włoskich. Klucker potrafił zdobyć sporą ogładę i oczytanie, a w pamięci alpinistów zapisał się jako indywidualność i człowiek serca.

✝ **Piotr Puiseux,** syn matematyka Wiktora Puiseux, zdobywcy Pelvoux sam znakomity astronom, jeden z założycieli i prezes honorowy Club Alpin Français i członek honorowy Alpine Clubu, zmarł 28 września 1928 r. w Paryżu. Zeszedł z tego świata jeden z czołowych alpinistów francuskich, którzy za przykładem Zsigmondyego, Purtschrellera, Lammera i innych, zaczęli w końcu ubiegłego stulecia chodzić bez przewodnika. Znakomite opisy wypraw zapewniają mu poczesne miejsce we francuskiej literaturze alpinistycznej.

✝ **Karol Schulz.** Dnia 15 marca br. zmarł w Monachjum, przeżywszy 84 lata, b. prof. uniw. w Jenie i b. dyr. bibl. Sądu Rzeszy w Lipsku — dr. jur. Karol Schulz. Zmarły, tow. wielu wypraw braci E. i O. Zsigmondych i L. Purtschellera, należał ok. połowy 80-ych lat ub. stulecia do najbardziej znanych przedstawicieli niemieckiego alpinizmu. Chodził zrazu z najznakomitszymi przewodnikami swego czasu (np. z A. Burgenerem, M. Bettegą i td.), później zaś z przyjaciółmi i odbył zarówno w Alpach Zach., jak i w Alpach Wsch. moc wspaniałych wycieczek, bądź odkrywczych (np. I. wyjście na Fermedaturm, I. zejście z Dent Blanche granią Ferpècle, pd. ściana Bietschhornu i td.), bądź też stanowiących b. poważne powtórzenia (np. Col du Lion, Berninascharte i td.). W jego to oczach zginął w 1885 r. — podczas słynnej próby sforsowania pd. ściany Meije — dr. Emil Zsigmondy. Jak powszechnie wiadomo, śmiertelny obrót owego przypadku przypisali potem niektórzy użyciu — do asekuracji E. Zsigmondyego — starej, cienkiej, jedwabnej liny pomocniczej prof. Schulza, z którego to powodu wywiązała się żywa i gorąca dyskusja. — Nader czynny udział brał również śp. Schulz w literaturze alpinistycznej: zasilał często *Mt. d. D. u. Ö. A.-V.*, *Ö. A. Z.* oraz *Jb. d. S. A. C.*, w zbiorowem dziele pt. *Die Erschliessung der Ostalpen* opracował monograficznie grupy: Adamello, Presanella, Brenta i Grödeńskie Dolomity, a w 1889 r. zebrał i wydał w oddzielnej, rysunkami E. T. Comptona ozdobionej, książce pt. *Im Hochgebirge*, literacką spuściznę E. Zsigmondyego, poświęcając mu w niej piękne i głęboko odczute wspomnienie pośmiertne. — Niepodobna tu wreszcie nie nadmienić o rozgłośnej polemice między prof. Schulzem a drem E. G. Lammerem. Śp. Schulz zaatakował mianowicie w swej humorystyczno-satyrycznej broszurze pt. *Auf das Steinbockhorn in Sturm u. Graus. Von Dr. O. Donner, Höchstalpinist in Wien* — całe ówczesne pokolenie «młodych», a zwłaszcza Lammera, starając się reprezentowany przez nich kierunek — «nowe prądy» — radykalnie ośmieszyć. Lammer nie pozostał Schulzowi dłużny i odpowiedział w 1888 r. broszurą pt. *Ein alpiner Ritter von der traurigen Gestalt* (przedrukowane w 2-iem wyd. dzieła Lammera pt. *Jungborn*; patrz «Taternik» z 1928 r., Nr. 2, str. 35 i 36), w której przy pomocy nieporównanej dialektyki, z niebywałą ostrością, namiętnością i wprost bezlitosną ironją wyszydził postać prof. Schulza. Ten ostatni nie reagował już na ów straszliwy cios, zadany mu druzgocącą ręką Lammera i jedynie tylko publiczne oświadczenia lipskiej Sekcji D. u. Ö. A.-V. oraz O. Zsigmondyego i L. Purtschellera (którzy wzięli Schulza w obronę) stały się epilogiem tego, bezprzykładnego w dziejach alpinizmu, starcia. Poglądów swych, których niegdyś tak bezskutecznie bronił i których padł ofiarą — prof. Schulz do końca życia nie zmienił...

Pięćdziesięciolecie Austrjackiego Klubu Alpejskiego. Dnia 18-go stycznia b. r. obchodził jubileusz pięćdziesięcioletniej działalności Austrjacki Klub Alpejski, najpotężniejszy na kontynencie zamknięty klub wysokogórski, łączący wybitne osobistości z pośród alpinistów wszystkich narodowości (należy doń m. i., jak wiadomo, kilku członków Sekcji Turystycznej P. T. T.). Zbyt wielkie są zasługi Klubu około budzenia ruchu alpinistycznego, abyśmy mieli je na tem miejscu przy-

pominać. Członkowie Klubu, którzy byli czynni niemal we wszystkich górach świata, nieraz zawitali i do Tatr, przyczem swemi śmiałemi przejściami przyczynili się poważnie do postawienia taternictwa na jego dzisiejszym poziomie. — W uroczystym bankiecie wziął udział szereg gości zamiejscowych i zagranicznych, w tem szczególnie serdecznie witany prezes Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego, E. Erb. Wśród nader licznych depesz gratulacyjnych, nie zabrakło telegramu, wysłanego imieniem Sekcji przez dra S. Komornickiego.

Ekspedycje Visserów w góry Karakorum. Znany holenderski alpinista, Ph. Chr. Visser wyruszył wraz z małżonką, J. Visser-Hooft (wiceprezeską Ladies' Alpine Club) na trzecią zrzędu ekspedycję w góry Karakorum. Pierwsza wyprawa, z r. 1922, miała na celu zbadanie grupy Safir. Druga, na większą skalę pomyślana ekspedycja, skierowała się ku najbardziej na zachód wysuniętej części pasma, tam, gdzie się ono styka z Hindukuszem, na granicy Kaszmiru i Turkiestanu i doprowadziła do poznania olbrzymich lodowców, jak lodowiec Batura, długości 58 km (jak wiadomo, góry Karakorum mają — po obszarach arktycznych — najdłuższe lodowce na świecie). Mamy w ręce ładnie napisane i zaopatrzone w piękne fotografje, przez samego Vissera napisane sprawozdanie z tej wyprawy, odbytej w towarzystwie barona van Harinxma toe Slooten, jednego topografa, znakomitych szwajcarskich przewodników Franciszka Lochmattera i Jana Perrena i licznych kulisów. Książka ta, p. t. «Zwischen Karakorum und Hindukusch» (Lipsk, 1928) zainteresuje każdego taternika, jakkolwiek bowiem cel wyprawy był naukowy, a nie alpinistyczny, przeprowadzenie jej z tego ostatniego punktu widzenia było wyczynem nielada. Obecna wyprawa — również o charakterze przedewszystkiem naukowym — rusza w nieco powiększonym składzie w pasma Aghil i Kwen-Lun, z zamiarem przepędzenia zimy w chińskim Turkiestanie. Równocześnie Włosi przygotowują wyprawę na K_2 pod wodzą ks. Spoleto.

O wyprawie niemieckiej w masyw Ala-Dagh gór Taurus przynoszą czasopisma alpejskie wzmianki i sprawozdania wraz z pięknemi fotografjami i schematyczną mapką zbadanej okolicy. W wyprawie tej wzięli udział dr. W. J. Martin z żoną i dr. G. Künne, wraz z niemieckim dragomanem i tureckimi tragarzami. Okolica przez nich zwiedzona była dotychczas zupełnie pod względem alpinistycznym niewyeksploatowana a nawet geograficznie niemal całkiem niezbadana. Dość powiedzieć, iż dotychczas uważano niedaleko położony masyw Bulgar-Dagh (ok. 3560 m) za najwyższy w Taurusie, tymczasem wspomniani turyści z wielkiem zdziwieniem stwierdzili, iż najwyższa góra Ala-Dagh, Demirkasyk ma około 3910 m wysokości i tem samem jest najwyższą górą nietylko Taurusu, lecz całej Azji Mniejszej. Góry Ala-Dagh — jak widać z fotografij i opisów — stanowią piękne, skaliste pasmo, przedstawiające bardzo poważne trudności techniczne. Skała jest typu wapiennego, lita. Wyprawa odniosła pełny sukces. Zdobyto szereg szczytów z Demirkasykiem i Lolutem (3840 m) na czele. Niemniej jednak teren ten przez dłuższy czas stanowić będzie wdzięczne pole do ekspansji dla alpinizmu odkrywczego.

Niemiecka wyprawa ałajsko-pamirska. Samopomoc Nauki Niemieckiej (Notgemeinschaft Deutscher Wissenschaft), Niemiecko-Austrjackie Towarzystwo Alpejskie i Akademja Nauk Związku Sowieckiego, urządziły w czasie od maja do września 1928 r. wyprawę w Góry Zaałajskie i łączące się z niemi łańcuchy górskie, ograniczające Pamiry od pn.-zachodu. Wyprawa składała się z 66 ludzi, nie licząc tragarzy i konwoju wojskowego, rozporządzała 160 końmi, 60 wielbłądami, stadem baranów i 2 samolotami, nadto oddziałem kinematograficznym oraz stacjami meteorologiczną i radjową.

Z Gulczy w Ferganie ruszyła wyprawa przez przełęcze Tałdyk i At Dżuli w paśmie Gór Ałajskich w Dolinę Wielkiego Ałaju; przekroczywszy ją w poprzek, dotarła przez przełęcz Kyzył Art w Górach Zaałajskich do Jeziora Kara Kul (ok. 4000 m.), gdzie założono główny obóz. Stamtąd przedsiębrano partjami wycieczki naukowe i alpinistyczne; zdobyto, częściowo na nartach, kilka szczytów do 6000 m (rekord narciarski ok. 5900 m). Później przeniesiono obóz ku pd.-zachodowi i zdobyto kilka szczytów do 6650 m. Wracając ku północy przez lodowiec Fedczenki (70 km długości) i Przełęcz Tachta, skierowano się raz jeszcze w serce Gór Zaałajskich i zdobyto 25 września najwyższy tam Szczyt Kaufmana (7000 m; przezwany dziś Szczytem Lenina).

Nie mamy jeszcze w ręce wydanego w osobnej książce, p. t. «Die Alai-(Pamir-) Expedition», sprawozdania z wyprawy, której naczelnym kierownikiem był W. Rickmer-Rickmers, zaś w grupie alpinistów dr. Ph. Borchers (obaj z Bremy). Wiadomości, umieszczone w pismach alpejskich, są ogólnikowe, miejscami zabarwione reklamą. Czytelnicy mogą się nieźle zapoznać z terenem tej wyprawy przy po-

mocy niedocenionych opisów gen. B. Grąbczewskiego, który w latach 1888—9 badał go i zdejmował (Podróże, tomy II i III).

Wyprawa w Andy. Oprócz Illampu w boliwijskich Kordyljerach, zdobyła wyprawa Niem.-Austr. Tow. Alpejskiego w r. 1928 szczyty Calzata i Cocho-Comani, liczące powyżej 6900 m i pn. wierzchołek Illimani (inż. E. Hein z Gracu, samotnie), mający ok. 6500 m wysokości.

Ze srebrnego ekranu. Na wiosnę oglądaliśmy w krajowych kinach nowy film alpinistyczny, osnuty na tle historji zdobycia Matterhornu. Przybycie jego do Polski poprzedziły różne wieści z Zachodu, zlewające się w jeden pomruk niezadowolenia sfer alpinistycznych. Idąc patrzeć na nowy obraz, byliśmy zatem już krytycznie nastawieni. Humorystycznie działała też polska transkrypcja tytułu: Walka o Złoty Róg(!) zamiast *Der Kampf ums Matterhorn*. Mimo wszystko jednak, po tych samych ludziach, którzy stworzyli przedtem «Monte Santo», dzieło nie bez zarzutu, wszakże film górski — spodziewaliśmy się czegoś bardziej wartościowego, niż to, co ujrzeliśmy.

W jaki sposób zamiast dramatu powstał wstrętny kicz — tłumaczy to szczerze i jasno w «Freiburger Zeitung» Sepp Allgaier, główny operator zdjęć filmowych i bliski współpracownik twórcy scenarjusza, dra Arnolda Fancka. Z wynurzeń tych dowiadujemy się przedewszystkiem, iż pierwotny scenarjusz został «poprawiony» przez reżyserów, specjalistów od sensacyj. Im to, jak również wpływom zaangażowanego kapitału włoskiego, przypisać należy dziwną tendencję gloryfikowania Carrela z ujmą dla Whympera i szkodą dla prawdy historycznej. Pomijając szczegóły, zaznaczamy tylko, iż w filmie, Whymper jest stale zdany na pomoc rozbrajającego swą szlachetnością Włocha. Zmieszanie z błotem sympatycznego garbuska Meyneta — o którym z takim szacunkiem pisze sam Whymper — jest niewątpliwie również pomysłem nizinnych reżyserów. Nie wiemy, czyim wynalazkiem była blada intryżka miłosna. Przyznać trzeba, iż szkodzi ona niewiele, ale jej wartość kinową przesądza fakt, iż możnaby ją opuścić bez żadnej szkody dla całości. Tyle o scenarjuszu; zaznaczyć należy, iż rzeczywista historja rywalizacji o zdobycie Matterhornu jest tak klasycznie dramatyczna, iż każde odstępstwo od prawdy historycznej może być artystycznie tylko szkodliwe.

Odnośnie do zdjęć, można wiele zarzucić. Sytuacje na Matterhornie nieraz wyglądają całkiem nieprawdopodobnie; widzimy głównie zdobywanie zupełnie niemożliwych przewieszek i karkołomne ewolucje Whympera, wiszącego wolno w powietrzu, na linie. Wszystkie bardziej realistyczne obrazy, zdejmowane z trudem i niebezpieczeństwem na skałach Matterhornu, zostały bowiem wycięte, jako zamało efektowne. W ten sposób przepadła lwia część filmu górskiego na korzyść epizodów, preparowanych w berlińskiem studio, gdzie naftalina służyła za śnieg (scena zasypania bohaterki). Z grubszych błędów rzeczowych, razi ukazanie zdumionym widzom żony Carrela — mającej przebywać w Breuil — nagle w okolicy Zermatt, na tle Matterhornu. Uczyniono to zapewne dlatego, iż szykany włoskich faszystów uniemożliwiły robienie zdjęć w okolicy Breuil. Poważne zastrzeżenia budzą również stroje i ekwipunek aktorów. Ten ostatni nie jest ani historycznie wierny, ani też we wszystkich szczegółach nowoczesny. Nie można więc porównywać «Walki o Matterhorn» z «Hamletem» w nowoczesnych kostjumach, pomijając już tę zasadniczą różnicę, że gdy w tragedji Szekspira akcja jest ogólnoludzka, tu jest ściśle związana z pewną epoką alpinizmu odkrywczego. Efekty reżyserskie są naogół dość słabe, a najlepsze z nich, jak dwukrotnie powtarzający się marsz przy pochodniach, są naśladowane z «Monte Santo».

Podkreślmy jednak jedyny moment dodatni. Jest nim gra aktorów, przedewszystkiem odtwórców głównych ról: Carrela i Whympera, pp. L. Trenkera (znanego z «Monte Santo») i P. Vossa. Możemy im tylko życzyć, aby — wraz z Franckiem i Allgaierem — znaleźli wytwórnię filmową, którażby im pozwoliła swobodnie się wypowiedzieć.

Dr. Tadeusz Smoluchowski donosi nam o odbyciu w Alpach następujących wycieczek w sezonie 1928, (przeważnie ze synem Wilhelmem i prof. drem Tadeuszem Czeżowskim z Wilna): Aiguille de Béranger (3431 m), Aiguille du Goûter (3843 m; wejście na Mont Blanc nie udało się z powoku burzy), Col du Tour (3310 m), Tête Blanche (3430 m), Fenêtre de Saleinaz (3264 m), Pointe d'Orny (3274 m), Col de la Breyaz (2409), Col de Bertol (3416 m), Col de la Tête Blanche (3650 m), Theodulpass (3322 m), Breithorn (4171 m), Kl. Matterhorn (3886 m).

Wystawa obrazów Rafała Malczewskiego, otwarta dnia 19 maja b. r. w antykwarjacie artystycznym Franciszka Studzińskiego w Krakowie, przynosi, obok szeregu obrazów olejnych, z których część odnosi się do Zakopanego lub Tatr, cykl dwudziestu pięciu akwarel p. t. «Wiosna w Tatrach».

Z PIŚMIENNICTWA

Wierchy. *Rocznik poświęcony górom i góralszczyźnie.* Organ Polsk. Tow. Tatrz., wydawany przez Zarząd Główny, łącznie z Oddz. Lwowskim Towarzystwa Rok szósty. Str. VI + 214. Kraków 1928.

W porównaniu z poprzedniemi rocznikami «Wierchów» uderza nieco w ostatnim ich tomie pewne zwężenie działu, poświęconego zagadnieniom, dotyczącym taternictwa. Zwłaszcza daje się odczuwać brak jakiejś literackiej relacji z letnich wypraw tatrzańskich, czy też teoretycznej rozprawki z dziedzin, związanych z istotą popędu człowieka do gór. Luki tej nie może wypełnić — dla taterników ogromnie zresztą interesujący — artykuł R. Kordysa o «Wspinaczkach w Bubniskach», odgrywający, dzięki b. szczegółowym opisom, rolę swego rodzaju «Przewodniczka» po tem, wysoce oryginalnem, niestety, jednak dla ogółu turystów — poza mieszkańcami Lwowa i Stryja — trudno dostępnem uroczysku, pełnem «bołdów», baszt, «lalek» i wieżyc skalnych, składających się na wyborną taternicką szkołę ćwiczebną. Jedynem opowiadaniem z przeżyć taternickich jest artykuł S. K. Zaremby pod cokolwiek zagadkowym tytułem «W ojczyste strony». W słowach, tchnących świeżością i ujmujących prostotą i umiarem, a zarazem literacko nader gładkich, odtwarza p. Zaremba swą dzielną, samotnie odbytą, w dobrym stylu wypraw śnieżnych utrzymaną, wycieczkę zimową w otoczenie Dol. Koprowej, uwieńczoną wdarciem się — pierwszem w zimie — na skalny mur Hrubego Wierchu od strony Małego Ogrodu w Dol. Hlińskiej. Podkreślić tu należy, rzadko dziś u nas w tego pokroju opisach spotykaną, szczerość wyznań autora, który nie zataja swych wahań, wątpliwości i walk wewnętrznych, tak ważnych i tak koniecznych do przezwyciężenia na samotnych wędrówkach górskich.

Z artykułów pozataternickich, które przynosi omawiany rocznik, na wzmiankę w naszem piśmie zasługują przedewszystkiem trzy rzeczy. Jedna z nich — to po raz pierwszy w całości drukiem ogłoszony list znakomitego chirurga, literata i artysty Władysława Matlakowskiego, pisany na 4 miesiące przed śmiercią tegoż (1895 r.) w sprawie wydania jego dzieła pt. «Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu» do dra Zygmunta Kramsztyka, stanowiący prawdziwie tragiczny dokument ludzki i dający pojęcie o trudnościach i niechęciach, które człowiek ten musiał zwalczyć. Rzecz druga — to nowelka A. H. Josta «W turniach», osnuta na tle życia i śmierci kłusowników tatrzańskich, odznaczająca się głębokiem wyczuciem duszy góralskiej, a w fakturze literackiej, stylu i języku zbliżająca się do tetmajerowskich opowieści o «Skalnem Podhalu». Nakoniec — szkic B. Pawłowskiego «Życie roślinne na najwyższych szczytach tatrzańskich», łączący w b. zręczny sposób naukowość i specjalność tematu z umiejętnością popularnego, wszystkich czytelników zaciekawiającego, jego ujęcia.

Nową rubrykę «Z lat dawnych» inauguruje przedruk opisu Morskiego Oka i Dol. Pięciu Stawów Polskich z 1839 r. Pomysł zamieszczania w «Wierchach» rzadkich lub niewydanych jeszcze, dawnych opisów Tatr, należy uważać za b. szczeęśliwy.

«Kronika» zawiera — między innemi — b. obszerne streszczenie płomiennego apelu E. G. Lammera w kwestji bezwzględnej ochrony przyrody wysokogórskiej (szkoda, iż pominięto w niem kilka charakterystycznych ustępów oryginału, gdyż niektóre myśli autora nie zostały przez to odpowiednio uwypuklone; poza tem — podana w komentarzu wiadomość, jakoby «Mt. D. Ö. A. V.», w których pojawił się ów artykuł, ukazywały się w 25 tysiącach egz., jest błędna, nakład tego miesięcznika jest bowiem dziesięciokrotnie większy), szereg nekrologów, z pośród których wielce dodatnio wyróżniają się wspomnienia pośmiertne o śp. J. Honowskiej, Z. Krókowskiej i J. Leporowskim (pióra S. K. Zaremby), dłuższa, świetnie skreślona notatka o Jubileuszu 25-lecia Sekcji Turystycznej P. T. T. (doskonały jest wstęp historyczny do niej, jakkolwiek i pełne głębszych uwag i nowych myśli zakończenie nie ustępuje mu bynajmniej!), sprawozdanie T. O. P. R. za 1928 r., charakterystykę taternickiego sezonu letniego 1928 r. (zdaniem naszem — częściowo niezupełnie trafną, pomijając już to, że wspomniane w niej mityczne turnie w Łomnicy, w rzeczywistości wcale nie istnieją; nie zgadzamy się również z sądem, że problem przejścia wsch. ściany Mnicha posunięty został w 1928 r. naprzód), króciutką recenzję z 3-ch pierwszych numerów «Taternika» z 1928 r. i td.

Korekta w «Wierchach» pozostawia sporo do życzenia; pisownia w nich jest niejednolita. Strona ilustracyjna natomiast wypadła obecnie znacznie lepiej, niż w poprzednich tomach. W szczególności żywej pochwały godna jest fotografja Żabiego Konia (zdjęcie dra. W. Łaby). *z. i.*

Paul Hanneke. *Das Arbeiten mit kleinen Kameras,* nebst praktischer Anleitung zu der Entwicklung der kleinen Negative, sowie der Herstellung von Kopien und Bildvergrösserungen. Mit 85 in den Text gedruckten Abbildungen. Sechste und siebente Auflage (Enzyklopädie der Photographie und Kinematographie, Heft 85.). Verlag von Wilhelm Knapp, Halle (Saale). 1928. Jest to wyborny podręcznik dla zwolenników małych aparatów fotograficznych (do formatu $6^1/_2 \times 9$ *cm* włącznie). *z. i.*

Podręcznik fotografji. Przewodnik praktyczny dla amatorów i zawodowców. Wydanie 3-cie, *opracowane przez T. Barzykowskiego i J. Jaroszyńskiego, pod kierunkiem redakcyjnym St. Schönfelda.* Z rycinami i tablicami. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1928. Str. 288.

Książka ta wyszła staraniem Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografji, jako znacznie rozszerzone, zupełnie na nowo opracowane, do współczesnego stanu sztuki fotograficznej całkowicie dostosowane, trzecie wydanie, spolszczonego «Podręcznika fotografji» d-ra E. Vogel'a. Nazwisko znakomitego fotografa-amatora, członka naszej Sekcji — inż. Jana Jaroszyńskiego, figurującego w charakterze współautora będącego w mowie podręcznika, jest najlepszą gwarancją wysokiej wartości omawianego dziełka, które też z tego względu uwadze wszystkich fotografujących taterników gorąco polecamy. *z. i.*

Die Bezwinger der Alpen. Denkwürdige Ersteigungsgeschichten u. Erlebnisse. Ausgewählt, herausgegeben u. mit erläuternden Einleitungen versehen von *Alfred Steinitzer.* Leipzig 1928. H. Fikentscher Verlag (Hafis-Lesebücherei). Str. 248. Jest to jak gdyby 3-cie, całkowicie jednak przerobione i zmienione (na korzyść!), wydanie znanej książki tegoż autora, pt. «Alpine Sieger» (patrz «Taternik» z 1928 r., Nr. 2, str. 35 i 36). Podaje opisy, dotyczące jedynie tylko Alp. Dziełko b. interesujące i zalecające się nadzwyczaj niską ceną (w opr. 3 zł.). *z. i.*

La dernière expedition au Mont Everest, *par le lieutenant-colonel E. F. Norton et d' autres membres de l'expédition, traduit de l'anglais par G. Léon* Payot, Paris 1927 (Collection d'études, de documents et de témoignages pour servir à l'histoire de notre temps). Mamy przed sobą francuskie tłumaczenie najkompetentniejszego i niejako urzędowego sprawozdania z wyprawy z r. 1924 na Mount Everest. Styl spokojny, zupełnie wolny od wszelkiego patosu, oddaje tem silniej, tem prawdziwiej tragiczną wielkość zmagań o zdobycie Bogini Matki Gór. Przebieg ich zbyt dobrze jest znany w kołach taternickich, abyśmy potrzebowali raz jeszcze go przypominać. Nowością dla nietórych, zwłaszcza dla tych, którzy pozostali pod wrażeniem książki Finch'a (tłumaczonej na język niemiecki przez Rickmer-Rickmersa pt. «Der Kampf um den Everest»), będą wiadomości o niespodziewanych przedtem możliwościach przystosowania organizmu do wysokości himalajskich (wspaniała forma Odella po 11 dobach spędzonych — z wyjątkiem jednej nocy — na wysokości 6900 m lub wyżej, wyrażająca się w jego samotnem wyjściu aż ponad obóz VI, znajdujący się na wysokości 8130 m!), zmuszające nas do zupełnej rewizji poglądów na rzekomą konieczność użycia tlenu, tak kategorycznie wypowiadanych przez wspomnianego autora. Omawiane dzieło uzupełniają listy Mallory'ego do żony, składające się na rodzaj dziennika, spostrzeżenia naukowe ze wszystkich dziedzin, przy szczególnem uwzględnieniu fizjologji oraz szczegółowe dane, dotyczące organizacji wyprawy. Końcowy rozdział pierwszej części, stanowiący przedruk z artykułu Nortona, ogłoszonego w r. 1925 w «Alpine Journal», omawia bardzo objektywnie możliwości zdobycia w przyszłości najwyższej góry ziemi. Ilustracje dobre. Całość książki — niezwykle źródłowo i dokładnie opracowanej — jest niewątpliwie bardzo instruktywna i — z wyjątkiem może niektórych, nieco specjalnych rozdziałów, traktujących o faktach z dziedziny nauk przyrodniczych — przykuwa od początku aż do końca uwagę «fachowego» czytelnika. *ska.*

Wydawca: Sekcja Turystyczna P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: S. K. Zaremba

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.